CZWARTEK
Nr 95 7 X 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

DO MANGENDE PO PRZYGODĘ!

Czytaj na str. 3

Śladami naszych turniejów

„POMORZANIN" ŚLIWICE GRA NADAL

(Inf. wł.). Dwa lata temu zajął w turnieju o puchar „Świata Młodych" II miejsce. Rok później wywalczył już tytuł mistrza krajowych rozgrywek, a w międzynarodowym finale (z udziałem ekipy z NRD) spisał się wręcz doskonale. Mowa o śliwickim „Pomorzaninie", zespole, który po zakończeniu imprezy „ŚM" butów na przysłowiowym kołku nie zawiesił. Drużyna, którą prowadzi obecnie pan **Andrzej Buda**, występuje w rozgrywkach klasy „B" seniorów Polskiego Związku Piłki Nożnej. Znając zapał i wolę walki chłopców z położonej w centrum Borów Tucholskich wsi, wierzymy, że usłyszymy o nich jeszcze wielokrotnie. Najlepszym piłkarzem zespołu jest **Tadeusz Pstrąg**, który uczestniczył w naszej imprezie w roku 1980. Równie dobrze spisuje się **Piotr Dyguła**, który w zawodach „ŚM" występował aż dwukrotnie. W Śliwicach myślą już o kolejnym starcie w rozgrywkach o puchar naszej redakcji, a nawet o zorgańizowaniu krajowego finału.

Ambitnemu „Pomorzaninowi" życzymy kolejnych sukcesów, a zwłaszcza zwycięstw w klasie „B" i awansu do wyższej klasy.

(zp)

NOWE SERIALE z katowickiego „Poltelu"

KATOWICE (PAP). Najnowszym serialem zrealizowanym w Wytwórni Filmów Telewizyjnych „Poltel" w Katowicach jest 16-odcinkowa saga rodu śląskiego, obejmująca dzieje czterech pokoleń w latach 1863–1945, a zatytułowana „Blisko, coraz bliżej". Dzieje bohaterów tej opowieści – mieszkańców wsi położonej w pobliżu schodzących się granic trzech zaborów – splatają się z historycznymi wydarzeniami rozgrywającymi się na terenie podzielonej między trzy mocarstwa Polski. Są to równocześnie kolejne etapy uporczywej walk ludu śląskiego o zachowanie polskości i powrót tej piastowskiej dzielnicy w granice odrodzonego Państwa Polskiego. Film zrealizowano na podstawie scenariusza Albina Siekierskiego, w reżyserii Zbigniewa Chmielewskiego.

Natomiast obecnie w katowickim „Poltelu" trwają zdjęcia do złożonego z 13 odcinków serialu dla młodych widzów „Awantura o lemura" z dziećmi – odtwórcami większości ról.

(tem)

GDZIE TE CZASY...

Czy wiecie, że pierwszą linię kolejową w Polsce otwarto w 1845 roku? Od początku wynalazek ten wzbudzał wielki i powszechny entuzjazm. Jeden z kompozytorów polskich, Franciszek Wilczek, na cześć każdego przystanku kolejowego na trasie Warszawa–Skierniewice ułożył specjalny utwór muzyczny. Natomiast ówczesny słynny cukiernik Lourse wyrabiał torty w kształcie... lokomotywy.

(kl)

Mama – kameleon ze sztokholmskiego ZOO i jej kilkudniowe dzieci. Maleństwa mieszczą się jeszcze na czubku palca. Fot. **CAF**

SPOTKANIA Z HISTORIĄ

Współgospodarze i spadkobiercy

Praca w zespole

W przemówieniu powitalnym otwierającym, III Walny Zjazd Związku Harcerstwa Polskiego kończąca swą naczelnikowską służbę hm. Zofia Zakrzewska powiedziała:

„Myśli nasze płyną nie tylko ku tym chłopcom i dziewczętom, którzy noszą już krzyż harcerski. Płyną one również do tych, którzy dopiero wkraczają na szlak harcerskiej przygody. Myśli nasze płyną także do tych setek tysięcy chłopców i dziewcząt, którym potrzebne jest harcerstwo, którym potrzebna jest radosna, pasjonująca przygoda, którym potrzebne jest ciekawe, radosne działanie w harcerskim zespole".

Bo właśnie zespół w tych latach był najważniejszy.

Kiedy w kwietniu 1964 roku obradował w Warszawie III Walny Zjazd, od dwóch, trzech lat obowiązywał już w drużynach nowy system pracy. Dla zaakcentowania wagi osiągnięć zespołu na miejsce dotychczasowych tradycyjnych indywidualnych stopni wprowadzono tzw. miana, które zdobywało się całym zastępem poprzez wykonanie kilku wspólnie podjętych zadań. Stopnie indywidualne mógł poszczególnym harcerzom przyznawać zastęp, który zdobył już odpowiadające stopniowi miano. System ten, poddawany wielu kolejnym poprawkom i modyfikacjom, nigdy się właściwie nie przyjął w Związku i w końcu w roku 1965 przestał obowiązywać. Pozostały mi po nim małe kolorowe plakietki z trzema płomieniami. Noszone na rękawach mundurów miały oznaczać posiadane przez harcerzy miano.

Rok wcześniej, bo od Zjazdu zaczęło natomiast obowiązywać nowe Prawo i Przyrzeczenie Harcerskie. W rocie Przyrzeczenia pojawiło się po raz pierwszy słowo socjalizm, a jeden z najbardziej tradycyjnych punktów Prawa – „Na słowie harcerza polegaj jak na Zawiszy" – został z niego usunięty. Złożenie przez harcerza Przyrzeczenia musiało być odtąd potwierdzone przez instruktora lub obecny przy tym zespół harcerski.

Wytyczone przez III Walny Zjazd zadania społeczno-wychowawcze ZHP na najbliższe lata nakazywały:

„W oparciu o doświadczenia harcerskiego czynu na 20-lecie PRL wprowadzić zasadę podejmowania co pewien czas ogólnozwiązkowej akcji, której zasięg i uzyskane efekty pozwoliłyby uzmysłowić harcerzom ich udział w budownictwie socjalizmu, w rozwiązywaniu konkretnych problemów gospodarczych, a jednocześnie rozmiar pracy, jakiej można dokonać siłami całego Związku.

Opierając się na dorobku takich akcji jak „Płock" i „Konin" organizować większe akcje przy wielkich budowlach socjalizmu, rozszerzać udział harcerzy w czynach społecznych".

Wytyczne te zaowocowały długą listą mniejszych i większych regionalnych inicjatyw, których ukoronowaniem była ogólnopolska Operacja „1001-Frombork".

Wzorem miały być „Płock" i „Konin".

Akcję „Płock" firmowała dawna Chorągiew Mazowiecka, która pracę, wędrówkę i kształcenie harcerzy starszych w latach 1962–64 związała w czasie wakacji z budową płockiej „Petrochemii" oraz zapory wodnej w Dębem. Co roku brało w tym udział z górą pół tysiąca harcerzy, z których kilkudziesięciu otrzymało odznakę „Budowniczemu kombinatu". Tłem akcji „Konin" organizowanej przez dawną Chorągiew Wielkopolską w latach 1963–64 była budowa Zagłębia Konińskiego, gdzie harcerze stawali się świadkami przemian zachodzących w ubogim i zacofanym regionie. Nie uczestniczyli wprawdzie bezpośrednio w budowie, ale pracowali przy żniwach i naprawie dróg, prowadzili „zielone przedszkola" i place zabaw, pomagali w badaniach socjologicznych i etnograficznych.

Wcześniejsze jeszcze od tych dwóch akcji były: katowicki „Zamonit", warmińsko-mazurski „Kormoran" i rzeszowska „Werynia". Wędrówki i praca na terenie Jury Krakowsko-Częstochowskiej, aktywizacja turystyczna krainy tysiąca jezior, budowa drogi i odcinka linii kolejowej w okolicach Kolbuszowej – to najkrótsze i bardzo powierzchowne oddanie charakteru tych inicjatyw, za którymi kryły się dziesiątki obozowych dni, setki przemierzonych kilometrów, tysiące przepracowanych godzin, uznanie dorosłych, radość dzieci, świadomość uczestnictwa w czymś ważnym i wielkim. W „Zamonicie", którego nazwa pochodzi od starych zamków i skalnych amonitów jury, do dziś bierze udział co roku kilkanaście tysięcy zuchów, harcerzy i instruktorów, a program akcji obrasta co roku nowymi pomysłami. O „Kormoranie" ciągle jeszcze śpiewają harcerze w całej Polsce: „Czuwaj! Na szlakach „Kormorana" czuwaj! Czuwaj! Echo odpowie ci. Puszcza twój krzyk w dal poniesie: czuwaj! Czuwaj! W błękitach jezior drży..."

Wielkie akcje potrzebowały ale i zjednywały sprzymierzeńców. W tamtych właśnie latach Związek Harcerstwa Polskiego podpisał kilka porozumień pozwalających mu realizować szeroko zakrojony program. Rozwijanie zainteresowań lotniczych i technicznych dotyczyło porozumienia z Aeroklubem PRL, współpraca z Milicją Obywatelską zaowocowała powołaniem Młodzieżowej Służby Ruchu, wychowaniu patriotyczno-obronnemu służy współdziałanie z Ligą Obrony Kraju, a popularyzacji krajoznawstwa, ochrony zabytków i różnych form turystyki – z Polskim Towarzystwem Turystyczno-Krajoznawczym. Kolejne porozumienia zostały podpisane ze Związkiem Ochotniczych Straży Pożarnych, Społecznym Komitetem Przeciwalkoholowym i Woj-

Dokończenie na str. 26

Korespondencja naszej czytelniczki z międzynarodowego obozu w Jugosławii

MOŻE KIEDYŚ ZNÓW SIĘ SPOTKAMY...

Moje tegoroczne wakacje w planach zapowiadały się zupełnie inaczej niż przebiegły w rzeczywistości. A rzeczywistość okazała się piękna – 14 dni spędziłam na międzynarodowym pionierskim obozie w Avala k/Belgradu.

29 czerwca wyjechałyśmy pociągiem z Katowic do Belgradu. Było nas 5 dziewcząt i opiekunka, dh Lucyna. Wyjeżdżałyśmy niepewne, bo nigdy nie byłyśmy na czymś takim i kto wiedział, co nas tam w Jugosławi mogło czekać.

Na dworcu w Budapeszcie do tegoż samego pociągu wsiedli węgierscy pionierzy. Rozpoznałam ich od razu po znaczkach pionierskich, gdyż orientowałam się w tym co nieco. Odnalazłam ich przedział i już wtedy zawarliśmy z nimi pierwszą znajomość. Okazało się, że też jadą na ten sam obóz co my. Fajno! Chociaż bardzo słabo znali język rosyjski i dobrze się człowiek namęczył nim wytłumaczył, o co mu chodzi, to już w parę godzin później rozmawialiśmy na całego... przy pomocy rąk.

Do Belgradu przyjechaliśmy jako pierwsi i tymczasowo umieszczono nas w jakimś internacie. Z godzinkę pochodziliśmy po mieście, a wieczorem zaprosiliśmy „naszych" Węgrów: Marikę, Cecilię, Laciego, Pisztę i Zoltana do naszego pokoju. Z początku rozmowa nie kleiła się, ale po chwili zaczęli nam opowiadać o sobie, tańczyli, śpiewali i my razem z nimi. Szaleliśmy wszyscy, uczyliśmy się nawzajem pląsów, piosenek, a nawet Laci chciał nas nauczyć czardasza. Nic z tego nie wyszło, a szkoda...

Następnego dnia dołączyli do nas: Włosi, Norwegowie, Chilijki, Jugosłowianie, pionierzy z ZSRR i odjechaliśmy autobusem do Avala. Wieczorem i nazajutrz dojechały jeszcze delegacje Iraku, Indii, Finlandii, Szwecji, NRD, Rumunii, Belgii i Francji. „Na przydział" do pokoju dostała mi się Norweżka, Szwedka, Hinduska, Chilijka, Jugosłowianka i 2 Polki. Od razu rzuciło mi się w oczy, że u nas w drużynach i na

obozach harcerskich jest większa dyscyplina, rygor. Tutaj nie było ściśle zaplanowane, że od tej do tej jest to, a później co innego. Dziatwa się włóczyła i szczególnie w deszczowe dni nie wiedziała co z sobą zrobić. Ale to już pod koniec, bo jak na razie to słoneczko było cudowne, 3 baseny, boiska, lasy.

Zaraz od pierwszego dnia poszły w ruch odznaki, widokówki, proporczyki. Każdy wymieniał, co się dało. Nawiązywaliśmy nowe znajomości, a jeśli nie było możliwości porozmawiać normalnie, to na migi. Fantastyczna piątka „Italianów" była także na MALCIE w Chorzowie, co udokumentowała polskim CZEŚĆ na powitanie. W ogóle z każdym dniem coraz więcej osób znało to słowo.

W ciągu tych 2 tygodni były 3 wycieczki. Pierwsza do Belgradu, gdzie poznaliśmy mikroskopijną część stolicy Jugosławii, druga do Kragujewac, które jest dla Jugosławian tym, czym dla nas Polaków Oświęcim, a trzecia do tzw. Domu Studenta, gdzie została zrobiona bezpośrednia audycja radiowa z wszystkimi uczestnikami obozu. Był także „wypad" do fabryki czekolady, skąd wróciliśmy z wypchanymi żołądkami i torbami.

Jak na wszystkich obozach międzynarodowych i tu każda delegacja miała swój wieczór. Przygotowywała wystawkę o swoim kraju i przedstawiała krótki program artystyczny. Tak się złożyło, że w tym samym czasie, gdy był nasz wieczór, w telewizji był mecz Polska–Francja. O wyniku dowiedziałyśmy się dosłownie na parę sekund przed występem. Wtedy to z rozpromienionymi twarzami zaczęłyśmy śpiewać „Entliczek, pentliczek co zrobi Piechniczek". Co prawda daleko nam do Łazuki, ale nawet (o dziwo!) się podobało. Potem już gładko poleciały harcerskie piosenki, a na koniec ubrane w stroje ludowe stanęłyśmy do poloneza. Z braku partnerów, prosimy kolegów z innych delegacji. „Szczęśliwi" wybrańcy to Annop z Indii, Walter z Włoch, Laci i Zoltan z Węgier, a także Chris z USA. Oj było przy tym śmiechu jak nigdy. Ten numer chyba najbardziej się podobał. W ogóle te wieczory różnych państw były cudowne. Pamiętam jak dziś, gdy Włosi chodzili na szczudłach, a Belgowie pokazywali fantastyczny skecz, a zresztą trudno tu kogoś wyróżniać...

Praktycznie to tylko my, Irakczycy i Finowie mieliśmy odmienne mundury, bo reszta to całkiem podobne. No, a nasze szare miały ogromne powodzenie.

O tym międzynarodowym obozie było bardzo głośno w całej Jugosławii. Częste wywiady do gazet, audycje radiowe, zdjęcia. Ale 2 tygodnie szybko minęły, przyszło się rozstać. Łzy, wymiana adresów, podpisy na chustach. Na wielu obozach już byłam, ale tego mi najbardziej szkoda, a szczególnie moich kochanych węgierskich przyjaciół. Będziemy do siebie pisać, a w końcu na Węgry nie tak daleko i może kiedyś się spotkamy i... nauczymy czardasza? Pamiętam jak jeszcze w drodze powrotnej, w pociągu, gdy od rozstania dzieliły nas tylko godziny śpiewaliśmy razem hymn obozu „ISTOK ZAPAD SEVERJUG, RUKA SRCE LJUBAW DRUG... itd."

Żegnam się węgierskim ELÖRE i polskim CZUWAJ!

Bogusława Gwiżdż-Brzostek
wędrowniczka

REDAKCYJNA POCZTA

Jak odzyskać jej miłość?

Znamy się od przedszkola. na początku to była przyjaźń. W piątej klasie zrodziła się miłość. Chodziliśmy razem na spacery, dużo rozmawialiśmy ze sobą. Niestety ciągle przeszkadzał nam Krzysiek, mój starszy brat. Gosia bardzo mu się podobała i chciał mi ją odbić. Nie udało mu się to, Gosia wolała mnie.

Rok temu zaczęły się między nami nieporozumienia. Zawróciła mi w głowie inna dziewczyna. Nie podobała mi się specjalnie, ale bez przerwy kręciła się koło mnie. Zauważyła to Gosia i obraziła się na mnie. Parę razy spotykałem ją potem na ulicy, ale ona udawała, że mnie nie widzi. Co mam zrobić, żeby odzyskać miłość Gosi, którą bardzo kocham. Na tamtej dziewczynie zupełnie mi nie zależy.

Darek

Przecież nie jestem potworem

Mam 13 lat. Siedzę teraz w swoim pokoju i na płacz mi się zbiera. Słyszę przez drzwi jak moja mama i siostra obgadują mnie przed ciocią, która przyjechała do nas w odwiedziny. Prawie codziennie są takie sceny. Gdy ktoś do mnie przyjdzie, mama woła go do drugiego pokoju i żali się na mnie. No i jak ja wtedy wyglądam? Jak jakiś potwór. Nie chcę przez to powiedzieć, że jestem święta. Owszem zdarzy mi się czasem coś przeskrobać, ale wtedy przepraszam mamę. Ale mama opowiada znajomym i rodzinie przeróżne stare historie. Właśnie teraz słyszę, jak ciocia mnie broni, a mama jej odpowiada, że ja tylko tak niewinnie wyglądam. Zupełnie nie wiem co zrobić, czy mama i siostra nie mogą sobie znaleźć innego tematu do rozmowy?

Zmartwiona Bożena

Szukam przyjaciół

Chciałbym nawiązać korespondencję, w związku z tym proszę o wydrukowanie mojego listu w „RP". Może kogoś odstraszy to, że znajdują się w Zakładzie Poprawczym. Ale dlatego zdecydowałem się napisać do „ŚM", ponieważ poza moimi kolegami, jak to się mówi z własnego podwórka, nie mam nikogo. Tych, których kiedyś uważałem za przyjaciół, od czasu kiedy znalazłem się w Z.P., już nie ma.

Mirek

Co będzie kiedy dorosnę?

Jestem szesnastoletnią dziewczyną. Mój problem może się wydać niepoważny. Nie mogę się przekonać do pocałunków.

Ostatnio poznałam chłopca, który mnie oczarował. Można powiedzieć, że zakochałam się. Spotykaliśmy się ponad miesiąc. Wreszcie zaczął domagać się pocałunku. Niestety i tym razem nie mogłam się przemóc. Wolałam zerwać z nim niż się pocałować. Teraz bardzo tego żałuję. Co będzie dalej? Co będzie, kiedy dorosnę?

Dorota

OD REDAKCJI: Nie powinnaś zbyt dużo rozmyślać nad tym. Przyjdzie taki moment, kiedy spotkasz swojego ukochanego chłopaka i nie będziesz musiała przełamywać swojej niechęci do pocałunków. To, że masz 16 lat wcale nie zobowiązuje Cię do całowania się z chłopcami, zmuszanie się do tego jest absolutnie bez sensu. Pierwszy pocałunek powinien być radosnym i pięknym wydarzeniem w życiu, a nie wymuszonym gestem. (mi)

SPOTKANIA Z HISTORIĄ

Dokończenie ze str. 25

skami Ochrony Pogranicza. Kiedy w szkołach średnich i zawodowych zaczynają w 1967 roku działać drużyny specjalnościowe, ci właśnie sprzymierzeńcy dla wielu z nich stanowią niezastąpioną bazę. I moja drużyna wodna, zanim zbudowała trochę własnego sprzętu, bez LOK-u i PTTK-u musiałaby pozostać na lądzie.

Pamiętam nasz kurs na stopień żeglarza na jednym z jezior Wielkopolski i naszą niewielką flotyllę. Kilku z wiążących wtedy pierwsze węzły i niewprawnie poruszających sterem trafiło później do szkół morskich Gdyni i Szczecina, bo ja sam, choć byłem ich drużynowym, skończyłem na rejsie po Zatoce Gdańskiej na „Kodze" – jednym z jachtów wchodzących w skład flotylli „Czerwonych Żagli", która powstała z przerobionych szalup ratunkowych z „Batorego" przekazanych harcerstwu. Wprawdzie większość czasu na jachcie spędziłem przy przygotowywaniu posiłków dla dziesięcioosobowej załogi, ale w mojej książeczce żeglarskiej, która niestety już nigdy później nie była mi potrzebna, znalazł się zapis o przepłynięciu stu siedmiu mil morskich pod pięćdziesięcioma trzema metrami kwadratowymi żagla, z zawijaniem do kilku mniejszych i większych portów rybackich.

W kilka lat po tym rejsie przydomek harcerski zyskało inne miasteczko z portem rybackim, położone malowniczo nad Zalewem Wiślanym na północno-zachodnim krańcu województwa olsztyńskiego. W marcu 1966 roku naczelnik ZHP hm. Wiktor Kinecki zwraca się do harcerek, harcerzy i instruktorów ze szkół zawodowych o pomoc w jego odbudowie. W kwietniu tego samego roku jako pierwsza melduje swą gotowość Drużyna z Zespołu Szkół Zawodowych nr 3 w Łodzi. Latem trwa akcja pilotażowa. W rok później, w pierwszym roku drugiego polskiego tysiąclecia rusza Operacja „1001-Frombork", podjęta dla uczczenia zbliżającej się pięćsetnej rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika, mająca przywrócić dawną świetność miastu wielkiego astronoma.

Początek wyglądał tak:

„Było nas niewielu – trzystu. Chcieliśmy wyjaśnić mieszkańcom Fromborka, po co tu jesteśmy, co zamierzamy zrobić. Ale jak sprawić, aby przyszli? Co robić?

Na ulicach miasta ukazał się udekorowany flagami spychacz, wypożyczony od przyjaciół Operacji „1001-Frombork". Ciężka maszyna zgrzytając, warcząc objechała prawie całe miasto i zatrzymała się tu, na rynku. Towarzyszyły jej wszystkie dzieci z miasta. Po chwili podeszli też zaciekawieni dorośli. My, harcerze, nie tworzyliśmy zwartych szeregów. Stanęliśmy ramię w ramię z mieszkańcami Fromborka.

Szef Sztabu Operacji przemawiał stojąc na spychaczu. Bez mikrofonu i megafonu, Irek Sekuła powiedział po prostu, po co tu przyjechaliśmy. Co chcemy robić. I że chcemy działać razem, wspólnie z mieszkańcami Fromborka. Wtedy poczułem na sobie po raz pierwszy badawcze spojrzenia. Jedne kpiące, inne nieufne, jeszcze inne zrezygnowane. Były też spojrzenia taksujące: ano zobaczymy, ileście warci, co też zdziałacie. I wtedy zrozumiałem, że oto zaczęło się coś bardzo ważnego, trudna gra, z której nie można się wycofać i której nie wolno przegrać".

Wycofywało się mało, wciąż dochodzili nowi.

„Lipiec 1969 rok. Miałem służbę w siedzibie Sztabu Operacji, gdy zameldowało się czterech chłopców z plecakami.

– My tutaj do pracy...

– Indywidualnie nie przyjmujemy. Tylko całe zespoły ze szkół.

– Ale nasza szkoła w tym roku nie jechała, więc my sami na własny koszt. Bo my tutaj już nie pierwszy raz. Tylko jego namówiliśmy, bo on nie był".

I gra o Frombork została wygrana!

Blisko pięćdziesiąt tysięcy uczestników, z których ponad dwa tysiące zdobyło honorowe obywatelstwo miasta Kopernika, milion przepracowanych roboczogodzin. Budynki mieszkalne, szkoły, sklepy, ulice i zieleńce, zabytkowe kanonie – w nich zawarta jest harcerska praca. Harcerskie punkty usługowe pracowały dla turystów i mieszkańców Fromborka. W 1972 roku Komitet Nagród „Trybuny Ludu" przyznaje I nagrodę w dziale inicjatyw społecznych zespołowi działaczy harcerskiej Operacji „1001-Frombork". W niecały rok później właśnie we Fromborku sztandar Związku Harcerstwa Polskiego zostaje udekorowany Orderem Sztandaru Pracy I klasy.

A praca w tym mieście z dawnych lat była przygodą – jak śpiewano w popularnej piosence o fromborskim księżycu i fromborskiej legendzie.

Nasze „Spotkania z historią" przypominają fakty, rekonstruują atmosferę, przywołują tych, którzy zostawili nam swój harcerski spadek. Chciałbym, by z Waszych pytań, wątpliwości i poszukiwań, z Waszych uzupełnień i sprostowań, z Waszych zainteresowań i fascynacji powstawały dalsze, coraz to nowe spotkania. Czekam więc na listy adresowane do naszych „Spotkań z historią". Może odezwą się uczestnicy wymienionych akcji. Może razem uzupełnimy ich listę.

JAROSŁAW LISIECKI
Fot. St. Borowiecki

LEPSI PIJĄ PEPSI

Slogan pochodzi z tych zamierzchłych czasów, gdy Polska podzielona była z grubsza biorąc na dwie części. Warszawa i okolice piły Coca-Colę. Reszta kraju Pepsi-Colę. Diabeł chyba potrafi rozróżnić oba te płyny, bo ja nie. Stworzono to powiedzonko zapewne na fali rosnącej nieufności do „centrali" czyli stolicy. Trudno zaprzeczyć – nie cieszyła się wówczas specjalnym autorytetem, naśmiewano się z niej i w inny sposób. Poznań miał swój porządek i gospodarność, Wrocław Panoramę, Warszawa zbójeckie ceny i nieżyczliwych ludzi. Tak mówiono, czasem do dzisiaj.

Ale ja o czym innym – o nieznanych autorach sloganu. Myślę, że raczej młodych, niż leciwych, bardziej nieustabilizowanych, niż obrośniętych tłuszczykiem poważnych stanowisk. Na przestrzeni lat siedemdziesiątych, które dla sporej części Czytelników są całym życiem, mieliśmy do czynienia z taką mnogością rozmaitych przełomów, że trudno wyliczyć. A przecież cały ten czas nabrzmiewała niechęć do drętwej mowy, obrzmiałych od samozadowolenia reklam, paskudnie nijakich tekstów piosenek, rozbieżności tego co się wie i tego co się mówić powinno. Najprędzej zauważono to analizując tak zwane subkultury młodzieżowe. Cóż za wulgarny sposób wyrażania się, jakie aroganckie obyczaje panowały na przykład w dyskotekach, uznanych za główne siedlisko zła! (No cóż, porozumiewano się wprost...). Był to zresztą stosunkowo niewinny okres ich funkcjonowania, z głośników sączyły się przecież łagodne brednie o żeglarzach, co to odpływają, albo o panienkach marzących w rytmie walca. Miało się to do rzeczywistości słuchających dokładnie jak pięść do nosa. Słuchali więc najchętniej tego, co zagraniczne, wsiadali do zatłoczonych autobusów i wracali do odrabiania lekcji – ktoś przecież może to jutro sprawdzić... Trawili ówczesną, rzekomo dla nich przeznaczoną twórczość niejako z musu, z braku innej możliwości. Było przecież tak, że rzeczywistość polskiej muzyki rozrywkowej dzieliła się na trzy kręgi, z wiernymi ponoć odbiorcami: kanapowo-austriacką operetkę z końca ubiegłego wieku, katowicko-jazzową rewię nieudolnie naśladującą amerykański musical sprzed lat czterdziestu i gorącą jak wystygły rosół listę przebojów z opisanymi już tekstowymi bzdurami. Kogo to bawiło prócz samych autorów trudno dziś dociec.

I oto stała się rzecz dziwna – kryzys urodził rozkwit. Rozkwit innej muzyki, innego sposobu mówienia, nowej rzeczywistości słowno-obyczajowej, którą młodzi mogli uznać za swoją. Przyznam się szczerze, że jak nie należałem dawniej do miłośników dyskotek, tak nie należę i teraz. A jednak podoba mi się coś, co się tam – i obok – rodzi. Odejście od dętej frazeologii, wyrażanie się w sposób często naiwny, za to wprost, bez zbędnych logicznych wykrętów. Zapewne nikt nie odkrył tu Ameryki, tak porozumiewali się młodzi ludzie od dawna, w taki sposób kontaktowali się wzajemnie – ale wreszcie uzyskało to publiczny wyraz. Przede wszystkim w twórczości najmłodszych zespołów muzyki rockowej. Recenzenci ich występów uparcie opisują wyniesione z koncertów wrażenia: „... mankamentem są słowa – momentami grzeszące rozbrajającą naiwnością. Banalne teksty – to jednak u nas grzech nie tylko estrady rockowej..." Cóż, nie zamierzam nikogo skłaniać do zmiany zdania, w które wierzy, banalność tekstów ma u nas istotnie długą tradycję. Tylko co i dla kogo jest tutaj banalne? Czy aby nie jest tak, że to stara kadra, stara duchem, wiekiem i przyzwyczajeniami broni swoich straconych już pozycji? Banał jest konstrukcją, która nic w sobie nie niesie i o niczym nie informuje. A jeśli dany zestaw słów i pojęć, nazywany przez recenzentów banalnym, dla odbiorcy coś jednak znaczy, do czegoś nakłania, na coś wskazuje? No to wówczas, kochani, nie ma mowy o banale, może być natomiast mowa o komunikacie skierowanym do wyspecjalizowanej grupy odbiorców. A jaka jest ta grupa i kto za to odpowiada – całkiem inna dyskusja.

Poza tym – gdzie mieli młodzi tekściarze ćwiczyć się przedtem i kto ich w tym niełatwym fachu miał edukować? Nie szukam tu bynajmniej pierwszych lepszych winnych, dojrzewanie do czegokolwiek to proces złożony i nie odbywający się bez udziału samych zainteresowanych. Tym akurat pozwoliłbym ćwiczyć dalej bez szczególnie dotkliwego nakłuwania ich szpilkami krytyki – czuję przez skórę, że kroi nam się trochę ciekawych i nowych rzeczy.

Kultura lub jak kto chce subkultura ludzi młodych nie jest stuprocentowo jednorodna, ma też swoje skrzydła i marginesy. Jako się rzekło – nie jestem miłośnikiem dyskotek. Między innymi dlatego, że najgłośniejsi i najbardziej widoczni są w nich... przebierańcy. Ludzie mający niewiele wspólnego z tą częścią młodzieży, która naprawdę przyszła się tam bawić. Przebierańcy bywają w dyskotekach, ponieważ jest to niejako ich miejsce pracy – załatwiają w nim swoje interesy, czasem handlują, czasem zawierają potrzebne znajomości. Władają niby tym samym językiem co reszta, ale jest on podbarwiony pojęciami z innych kręgów. Sądzi się często całość mając przed oczyma niewielką część. To prawidłowość dość powszechna i jak myślę nie najgroźniejsza – byleby tylko zdawać sobie z niej sprawę.

Zatem – nie dajmy się uwodzić pozorom. Ani my – nieufni, ani wy – szaleni. Dzisiaj nawet lepsi nie pijają Pepsi tylko oranżadę. Jeśli w ogóle jest.

MAREK ZARĘBSKI

Kartki z dalekiej Korei

DO MANGENDE – PO PRZYGODĘ!

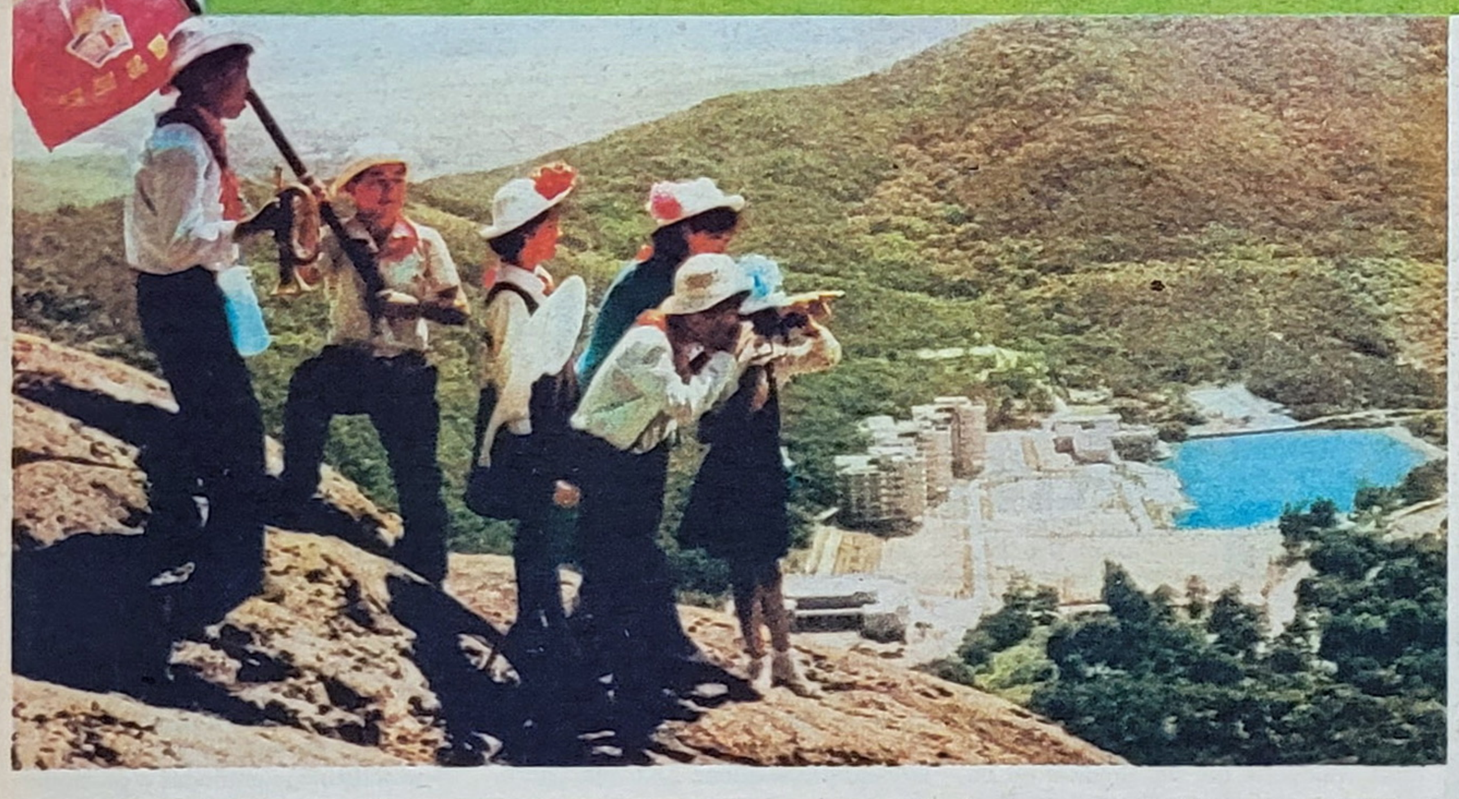

Na zachód od koreańskiej stolicy Phenianu, u podnóża pokrytej zielonym lasem góry Rionak znajduje się największy w Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej pionierski obóz Mangende. Wystarczy popatrzeć na zdjęcie przy tytule, aby zorientować się w położeniu tego miejsca, do którego przez okrągły rok przyjeżdżają koreańscy pionierzy w pogoni za przygodą i po odpoczynek. Nowoczesne mieszkalne bloki, warsztaty do majsterkowania, dom kultury i sale gimnastyczne, sztuczne jezioro z przystanią i zapleczem, basen kąpielowy – to „tylko" baza, gdzie się jada, sypia i przeprowadza zajęcia pod dachem. Ale najciekawsze zaczyna się naprawdę dopiero za progiem.

Oto jedna z pionierskich drużyn, spędzająca lato w Mangende – wybiera się na wyprawę. Idą tą samą drogą, którą chodził po okolicznych górach prezydent KRL-D – Kim-Ir-Sen, mieszkając tu w czasach swojego dzieciństwa. Gęsty las i strome zbocza gór wymagają nie lada zręczności i siły, ale pionierzy koreańscy są doskonale fizycznie zahartowani, w ich organizacji kładzie się na to olbrzymi nacisk. Drużyna na sygnał fanfarzysty zatrzymuje się na jednym ze szczytów, koło starej świątyni Pobun. A więc najpierw trzeba się napić wody z górskiego strumienia, jest ona tu rzeczywiście czysta jak kryształ. Potem trzeba coś „przegryźć". Okolica jest piękna nie tylko widokowo; jest tu przebogata roślinność kwitnąca wszystkimi kolorami tęczy. Drużyna zbiera więc okazy flory do zielnika. Po wysuszeniu pionierzy zabiorą je do swojej rodzinnej szkoły jako cenną pomoc naukową. Specjalnie przeszkolony zastęp chwyta w tym samym celu niektóre ciekawe owady do kolekcji szkolnej.

Po krótkim odpoczynku – w dalszą drogę! Tu już nieco trudniej: trzeba wspinać się za pomocą lin, przechodzić po mostkach, które stanowi często jeden zwalony pień drzewa. Tak dostają się na szczyt Tche, a potem Tan-ren.

Na górskim biwaku obiad gotuje dla siebie każdy zastęp; posiłek jest prosty, żołnierski. Po obiedzie teren i ekwipunek muszą być doprowadzone do absolutnej czystości. Pod wieczór wracają do obozu, część drogi przebywając statkiem po rzece

A do wieczora jeszcze tyle zajęć! I wizyta w pobliskiej fabryce trykotaży, i konkurs samorodnych talentów, i zawody wioślarskie na sztucznym jeziorze, i majsterkowanie. A przecież trzeba także uporządkować zbiory z dzisiejszej wyprawy. No – i napisać list do domu, koniecznie! List z obozu w Mangende, gdzie przygoda goni przygodę. **(js)**

Fot. **mies. „Korea"**

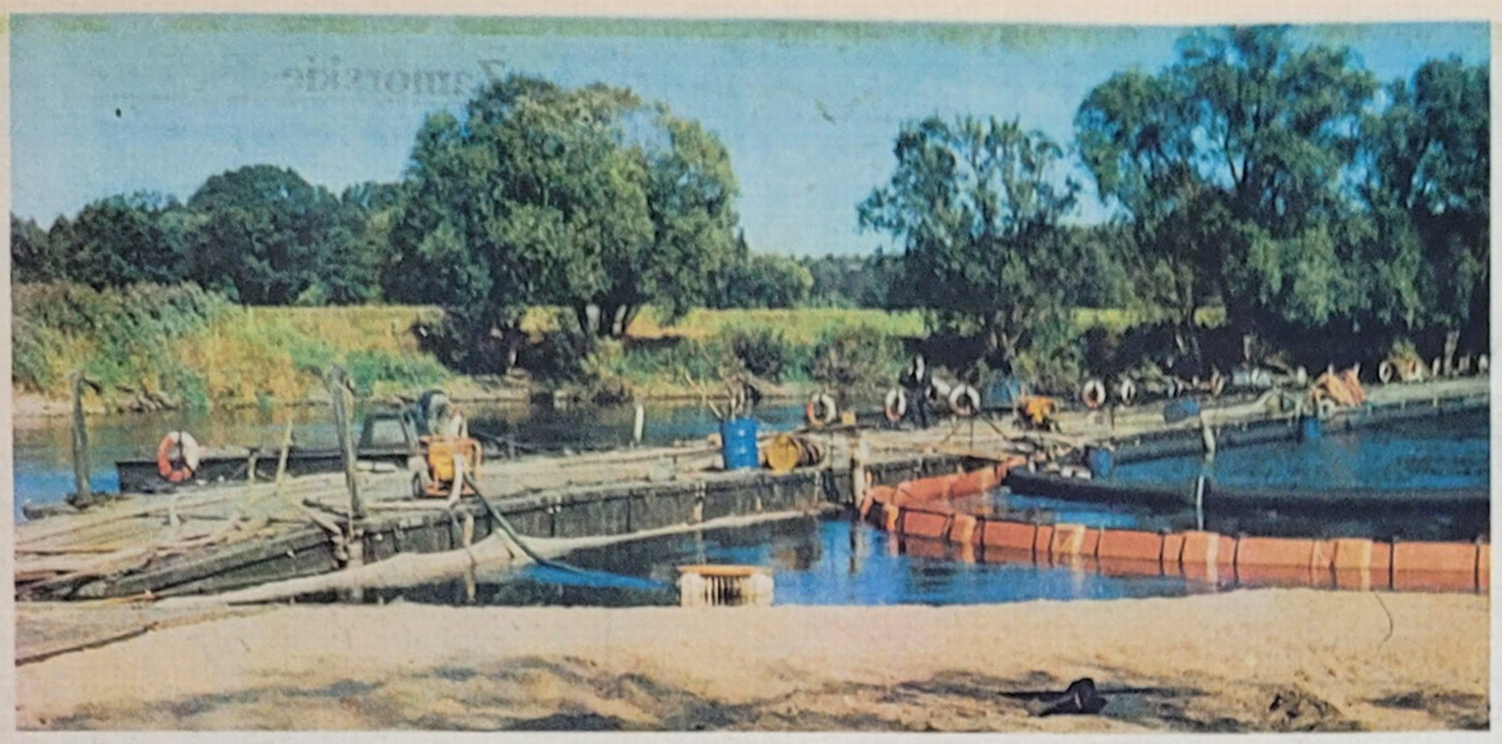

Akcja „MAZUT”

Urząd miejski w Skwierzynie. 10 września, godzina za pięć dwunasta. W przenośni i dosłownie. Ostatni teleks przyjęto o godz. 11,50:

„Pełne rozwinięcie akcji zwalczania mazutu na 22-gim km odcinku rzeki Warty przepływającej przez województwo pilskie nastąpi 10.09.82 r. w obrębie gminy Wronki. W tym celu ustalono podzielenie rzeki Warty na 5 odcinków. Wyznaczono dowódców odcinków i szefów brygad. Każdy dowódca odcinka dysponuje 6–7 brygadami, materiałami do wykonania 4 zapór 50-cio metrowych, zestawami traktorowymi, beczkami i niezbędnym sprzętem.

Dowódcy odcinków współpracować będą z 2 jednostkami straży pożarnej. W akcji wezmą udział motorówki, wozy asenizacyjne, pojazdy techniczne zgodnie z potrzebami.

Ocenia się, że w cyklu ciągłym zatrudnionych zostanie około 350 osób. Ustalono sposoby łączności, wyżywienia etc. Cały personel rekrutuje się z zawodowych i ochotniczych straży pożarnych oraz obrony cywilnej. Spodziewamy się wsparcia wojska. Akcja będzie miała charakter przestrzenny, jej celem będzie oczyszczenie całego odcinka rzeki. Trwać będzie aż do skutku. Podpisano – gł. specjalista mgr inż. A. Bobkowski”.

W urzędzie mówią, że sytuacja wygląda dramatycznie. Skwierzyna czerpie wodę ze studni głębinowych, ale Gorzów posiada ujęcia wody pitnej jedynie na Warcie. Jeśli się jej nie oczyści z mazutu, trzeba będzie wyłączyć filtry i miasto zostanie bez wody!

Ostatnia szansa

Sztab akcji mieści się w oddalonym o kilka kilometrów Rakowie. Kierowca „Nyski” dowożącej prowiant ze skwierzyńskiej restauracji, przez całą drogę nie może sobie podarować, że zapomniał zabrać wędki.

– **Ryby przed truciźną w dół rzeki uciekają. Kolega wczoraj obok zapory na żywca takie szczupaki złowił** – demonstruje wielkość złowionych okazów gestem, który w każdym wędkarzu wzbudziłby dreszcz zachwytu...

Na pierwszy rzut oka Rakowo przypomina obóz wojskowy. Równe rzędy namiotów, kuchnia polowa, dwie kolumny ciężkich samochodów, punkt sanitarny. Dopiero z bliska widać pompy, rozciągnięte na ziemi węże i doły wypełnione opalizującą mazią.

Niezbyt szeroka w tym miejscu Warta przegrodzona jest pontonowym mostem. Przed pontonem wystają z wody jakieś metalowe zapory. Później dowiem się, że są to przegrody typu „Norgen” i „Komar” służące do zbierania plam olejowych z powierzchni wody, wypożyczone na czas akcji z Portu Szczecińskiego. Kilka metrów niżej do umocowanych na linach pływaków przywiązane są słomiane baloty „filtrujące” przepływający mazut. W Rakowie znajduje się ostatnia z 3 wielkich zapór oczyszczających nurt Warty z nieczystości. Pozostałe dwie rozlokowane są na górnym odcinku rzeki: w Międzychodziu i Polichnie Starym.

Na krawędzi pontonu bulgocą nieliczne tłuste plamy, wygląda więc na to, że śmiercionośna maź znajduje się daleko. Ale w tym miejscu brzeg jest płaski jak stół, niewiele z niego widać i nie wiadomo jak przedstawia się sytuacja w górnym biegu rzeki. Z helikoptera nadchodzi jednak pokrzepiająca wiadomość, że w najbliższej okolicy nie ma oleistego kożucha. Oznacza to, że mazut nie przypłynie dzisiaj do Rakowa. Zmęczeni żołnierze odkładają czerpaki i odmaszerowują w kierunku zbitych z desek stołów. Pora na obiad.

Ryby głosu nie mają

Jan Krawiec, dyrektor Ośrodka Badań i Kontroli Środowiska w Gorzowie Wielkopolskim, kierujący akcją „Mazut” w Rakowie, stwierdza, że informacje o katastrofie ekologicznej na Warcie są przesadzone. Na początku sytuacja rzeczywiście wyglądała groźnie, gdyż rozlany olej mógł spowodować biologiczną śmierć rzeki. Na szczęście okazało się, że warstwa mazutu nie jest zbyt gruba, płynie więc w postaci tzw. filmu lub plam, co jest mniej groźne dla środowiska.

– **Wyniki ostatnich badań wskazują, że w głównym nurcie rzeki zawartość fenolu i substancji ropopochodnych odpowiada II klasie czystości wód. Gorsza sytuacja jest na zakolach, ale na terenie województwa gorzowskiego błona opalizująca nie przekracza kilku procent powierzchni cieku. Rzeka jest żywym organizmem i posiada zdolność do samooczyszczania. Część oleju zatrzymały słomiane maty, część uległa rozcieńczeniu, gdyż dopływy – Obra i Noteć, nie posiadają ropopochodnych zanieczyszczeń. A dzięki słonecznej pogodzie sporo mazutu po prostu wyparowało. Rzeka długo jeszcze będzie zanieczyszczona i akcja potrwa kilka tygodni, ale ujęcie wody w Gorzowie nie jest już zagrożone. Do Odry mazut na pewno nie dopłynie!**

Po tej informacji delegatowi Urzędu Wojewódzkiego ze Szczecina, który został wysłany na zwiady do Rakowa, wyraźnie poprawił się humor. Zlewnia Odry doprowadza rocznie 5 miliardów sześciennych ścieków (!) i ledwie dyszy resztkami biologicznego życia. Dawka mazutu z Warty mogłaby ją zapaskudzić do reszty, co dla cierpiącego na deficyt wody pitnej Szczecina byłoby ciosem nokautującym.

Przeprowadzone przez komisję Ministerstwa Górnictwa i Energetyki badania wykazały, że bezpośrednią przyczyną wypuszczenia do Warty 35 ton mazutu z poznańskiej elektrociepłowni Karolin był **„niedomknięty zawór spustowy nagrzewnicy zbiornika mazutowego oraz brak systematycznej kontroli gospodarki olejowej przez obsługę w czasie letniego postoju elektrociepłowni”.**

Tyle komunikat. Winni pociągnięci zostaną do odpowiedzialności i wydaje się, że tzw. opinia społeczna zostanie usatysfakcjonowana. Tylko mieszkańcy terenów położonych nad Wartą długo jeszcze będą faszerowani zwiększoną dawką benzenu, fenolu, formaldehydu i innymi substancjami o nazwach trudnych do wymówienia.

Dobrze, że ryby głosu nie mają!

Tekst i zdjęcia: **JUSTYN OPARA**

Post scriptum. 16 września z Wielkopolskich Zakładów Przemysłu Ziemniaczanego w Luboniu spuszczono do Warty ponad 10 kg grafitowego smaru używanego do konserwacji maszyn i urządzeń. Profilaktycznie poznańskie wodociągi na dobę zaprzestały pobierania wody z rzeki. Chciałoby się sparafrazować poetę: *„Od Poznania i od Warty płyną ścieki w świat otwarty”.*

UWAŻAJ – COŚ JEDZIE! (7)

To trzeba wiedzieć:

- młodzież do lat 14, idąca w zorganizowanej grupie np. na wycieczkę, do kina itp., powinna maszerować dwójkami po chodniku, pod nadzorem osoby dorosłej;
- w przypadku konieczności przejścia na drugą stronę drogi, zorganizowane kolumny powinny przechodzić w miejscach w tym celu wyznaczonych albo na skrzyżowaniu ulic;
- liczba dzieci w kolumnie powinna być taka, aby osoba nadzorująca mogła bez trudności zapewnić im należytą opiekę;
- w razie powstania sytuacji zagrażającej bezpieczeństwu dzieci podczas przechodzenia jezdni, należy przekraczanie wstrzymać do czasu ustania zagrożenia.

ZADANIE KONKURSOWE NR 7

Rower powinien być obowiązkowo wyposażony w:

a) co najmniej jeden sprawnie działający hamulec, z przodu białe światło, z tyłu światło czerwone i czerwone światło odblaskowe, sygnał dźwiękowy;

b) światło białe z przodu, światło czerwone odblaskowe z tyłu, co najmniej jeden sprawnie działający hamulec i sygnał dźwiękowy;

c) hamulec, lusterko wsteczne, białe światło z przodu, czerwone z tyłu;

d) dwa hamulce, sygnał dźwiękowy, pompkę i komplet kluczy.

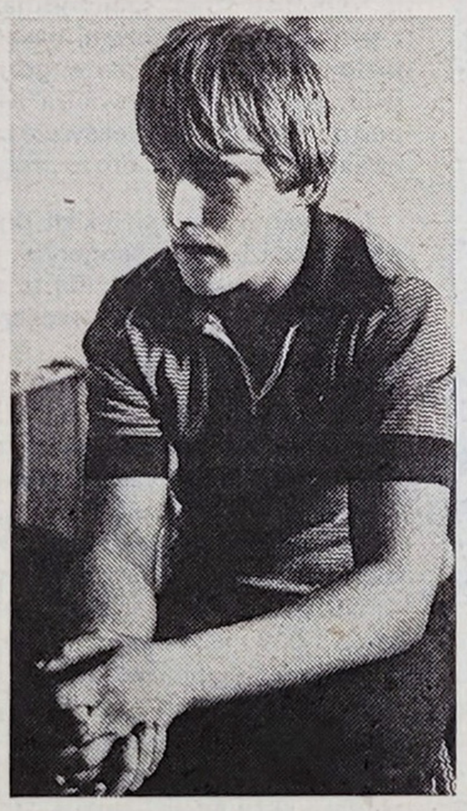

Janusz Muszyński, lat 14, uczeń V klasy Szkoły Podstawowej w Starych Juchach, woj. suwalskie, uratował tonącego. Został zgłoszony przez lekarkę z Ełku jako kandydat do operacji „Plus ultra'82”. Jury przyznało mu 2 miejsce wśród dziesiątki najlepszych.

Plus ultra '82

NIECH TYLKO ANDRZEJ WRÓCI...

Ten dzień zapamięta Janusz do końca życia: 21 lipca, godz. 9. Było upalnie, nad jeziorem Jędzelewo zebrali się jak co dzień miejscowi chłopcy i kilku letników. Kąpali się, gadali. Przyszedł też 23-letni Andrzej Laskowski, rolnik, serdeczny przyjaciel Janusza. Andrzej świetnie pływał, świetnie też skakał do wody.

Skoczył o ten jeden raz za dużo...

Nie było go dość długo, tak długo, że chłopcy zaczęli wypatrywać kolegi. Wreszcie wynurzył się plecami. Janusz jeszcze chwilę obserwował go z brzegu i rzucił się na ratunek. Razem z nim – 16-letni szwagier Andrzeja. Młody mężczyzna był zupełnie bezwładny, nie dawał znaku życia. Janusz twierdzi, że jeszcze wtedy nie bał się. Holował go do brzegu z wielkim wysiłkiem, sam kilkakrotnie zdrowo zachłysnął się wodą i mimo że silny i wysportowany, tracił siły. – Myślałem nawet przez moment – mówi – że to koniec, że obaj utoniemy.

A z brzegu przyglądali się tym zmaganiom przypadkowi świadkowie...

Bać się zaczął straszliwie już na brzegu, gdy zobaczył, że Andrzej jest zupełnie bezwładny, że nie może ruszać rękami ani nogami. Początkowo łudził się, że to tylko silny kurcz, próbował robić masaż. Ale Andrzej – już przytomny – skarżył się cicho, że uderzył mocno głową o dno, że nie czuje zupełnie rąk ani nóg. Prosił o pomoc.

Pobiegli do lekarza – nie było go w domu – do ośrodka zdrowia. Zanim jednak na miejsce wypadku przyjechała karetka pogotowia z Ełku – najpierw zwykła, potem dopiero wezwana przez nią „R-ka” – upłynęło sporo czasu.

Januszą przyprowadzili do domu jacyś przygodni ludzie. Trząsł się i nie chciał odpowiadać na żadne pytania. Sam za to pytał bez przerwy: „Co z Andrzejem?!” Później przyjechała po niego karetka i chłopca z podejrzeniem zachłystowego zapalenia płuc zabrano do tego samego szpitala w Ełku, do którego przywieziono Andrzeja. Choroba na szczęście nie rozwinęła się i po kilkudniowej obserwacji Janusz wrócił do domu.

Natomiast stan 23-letniego Andrzeja Laskowskiego lekarze z Ełku i z Białegostoku, gdzie przewieziono go na oddział ortopedii, określili jako ciężki. Doznał on urazu kręgosłupa szyjnego, co spowodowało porażenie wszystkich czterech kończyn. Istnieje obawa, że młody rolnik do końca życia pozostanie kaleką. Choć ostatnio – wiem to od Janusza, który, gdy tylko czas pozwala, odwiedza przyjaciela – nastąpiła pewna poprawa: porusza nogami, a nawet – ręką. Cieszyć się jednak za wcześnie.

Ci sami lekarze stwierdzili również, że Andrzej Laskowski bez pomocy Janusza nie miał żadnych szans: **musiałby utonąć**. Więc, ich zdaniem, tylko odwaga i szybki refleks 14-letniego chłopaka uratowały mu życie.

Zapytany wprost czy czuje się bohaterem, Janusz milczy, ale widać po minie wyraźnie, że – wcale nie. Ludzie na wsi inaczej, zwyczajniej patrzą na takie sprawy. Może częściej się z nimi stykają.

Janusz jest smutny i zgaszony. Od czasu wypadku – mówi starsza siostra – zrobił się okropnie nerwowy. Myśli ciągle, co będzie dalej z przyjacielem, boi się o jego życie, jego los. Do tej pory chodził do niego pomagać w gospodarstwie, teraz będzie to robił tym bardziej. Niech tylko Andrzej wróci!

Janusz mieszka razem z rodzicami i dwójką starszego rodzeństwa. Ma dużo obowiązków w domu i obejściu, ale lubi to i chętnie wszystko robi. Chodzi do klasy V Szkoły Podstawowej im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Starych Juchach. Koledzy lubią go – jest uczynny i koleżeński, staje zawsze w obronie młodszych i słabszych. W szkole nie wiedzie mu się zbyt dobrze; nie radzi sobie z matematyką, choć stara się jak może. W domu pomóc mu nie potrafią, w szkole – chyba nikt o tym nie myśli. Szkoda!

Bohaterski czyn Janusza zauważyli i docenili postronni ludzie; wysoko ocenili go tu, w Warszawie, ludzie wchodzący w skład jury operacji „Plus ultra”. Ciekawe, jak przywitała go jego szkoła i jakie słowa uznania usłyszał od nauczycieli i kolegów za swój naprawdę męski czyn odwagi?

KRYSTYNA KLIMOWICZ
Fot. **Andrzej Marzec**

„Gdy się ktoś zaczyta, zawsze albo się czegoś nauczy, albo zapomni o tym, co mu dolega, albo zaśnie – w każdym razie wygra".

[Henryk Sienkiewicz]

Wściekłe emocje piłkarskich mistrzostw świata España'82 mamy już co prawda poza sobą, ale to przecież nie znaczy, że zainteresowanie futbolem skończyło się jak nożem uciął! Przeciwnie! Teraz dopiero, po sukcesie polskiej drużyny namnożyło się nam po podwórkach i szkolnych boiskach Bońków, Smolarków, Kupcewiczów... Sęk jednakże w tym (telewizja udowodniła to niedawno czarno na białym w jednym ze swoich programów), że aby zostać prawdziwym piłkarzem, nie wystarczy zapał i talent, lecz okrągła sumka kilku tysięcy złotych na opędzenie najpilniejszych potrzeb początkującego futbolisty (piłka, buty, strój)...

Wypadnie więc o niebo taniej, choć nie oszukujmy się – to nie to samo – zakupienie książki Zvonimira Milčeca pt. „Chłopcy z Bukovača". Jest to interesująca opowieść o rywalizujących między sobą w gwizdaniu i grze w nogę grupkach chłopaków z przedmieścia Zagrzebia. Urwisach, nicponiach i spryciarzach – jak mówią o nich nauczyciele, którym Giza, Bimbo, Długi, Bystry i Konewka przysparzają niemało kłopotów. A poza tym chuliganią na ulicy, dokuczają sklepikarzowi, jeżdżą zawadiacko na buforach tramwajów, opychają się cukrową watą i urządzają bukovackie mistrzostwa w pluciu. Słowem, dni mają urozmaicone i wypełnione rozlicznymi zajęciami od rana do wieczora. Całe szczęście, że są sympatyczni i pewnie dlatego – mimo różnych grzeszków, wiele uchodzi im na sucho.

„Chłopcy z Bukovača" kosztują 50 zł, czyli jedną sześćdziesiątą część kosztów prawdziwej, skórzanej piłki...

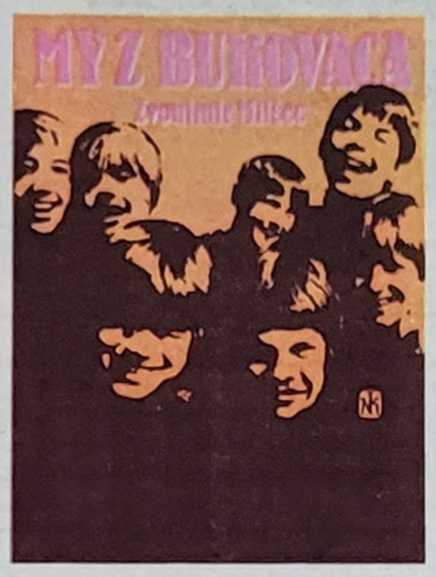

Z. Milčec – „My z Bukovača", NK 81, s. 118, cena 50 zł.

Po lekturze książki Ewy Ostrowskiej pt. „Co słychać za tymi drzwiami" ogarnęło mnie głębokie przygnębienie. Nie dlatego, żebym ze zjawiskiem o którym się pisze w powieści zetknęła się po raz pierwszy, lecz raczej z powodu uświadomionej bezsilności. Oto rodzina pięcioosobowa. Rodzice: matka – ekspedientka stoiska mięsnego (to ważne!), ojciec budowlany, dwie dziewczyny – Maryna i Bronka, uczennice szkoły średniej i babcia – dozorczyni. Mieszkają w starym, drewnianym, na wpół zbutwiałym domu. Ten dom zaszeregowuje rodzinę Cegłowskich w określonej hierarchii społecznej, w miejscu, którego wstydzą się dziewczyny, a zwłaszcza matka – kobieta energiczna, przedsiębiorcza i gdy trzeba – bezwzględna. Ona bowiem tęskni do lepszego życia. Imponuje jej styl i poziom życia dziennikarzy, artystów i profesorów, chce na siłę i za wszelką cenę wcisnąć się w ten inny, lepszy, elegantszy świat, którego symbolem jest ulica Słowackiego. A że jest sprytna, zawsze potrafi sobie dać radę. Jej filozofia zdominowała całą rodzinę (metamorfoza wrażliwej Maryny), jej sposób myślenia i styl osiągania zamierzonego celu triumfuje. Ona wie, jak się w życiu ustawić, jak dopiąć swego, jak być górą. Bronka, żyjąca w cieniu chorowitej Marynki, mówi o niej tak: *„Matka jest wyjątkową, mądrą kobietą, potrafi załatwić swoim stałym klientom nie tylko szynkę spod lady. Zaczyna się wszystko, rzecz jasna, od tego świńskiego zadka. To początek łańcucha, to kamyczek, który wyzwala lawinę zależności i możliwości lub, nazywając to inaczej, delikatnie: wdzięczności. Okazuje się, że wszyscy chcą jadać koniecznie zadek świński i gotowi dla tego zadka zrobić wiele. Komplet mebli, na który trzeba się wcześniej zapisywać, pralkę automatyczną, na którą też się trzeba zapisywać, i narożnik w kolorze bordo, i podgrzewacz dla niemowlaka, każdy deficytowy towar matka może i umie załatwić.(...) Bo matka od lat wyznaje zasadę: ludziom należy pomagać. Zasada brzmi pięknie, jej pointa nieco mniej pięknie: pomagać, bo to się opłaci. Prędzej czy później musi się skalkulować, mówi matka. Należy jeszcze wiedzieć, komu pomagać. Tylko ktosiom. Matka zna się na ludziach."*

Ilu jest dziś takich, co znają się na ludziach, tak jak pani Cegłowska? Jak długo jeszcze będzie obowiązywać jej filozofia życiowa?

(tem)

E. Ostrowska – „Co słychać za tymi drzwiami", MAW 82, s. 216, cena 60 zł

A. Bahdaj – „Podróż za jeden uśmiech", Nasza Księgarnia 82, wyd. V, s. 283, cena 60 zł

Czy oglądaliście wyświetlany w wakacyjnych telerankach serial na podstawie książki Adama Bahdaja „Podróż za jeden uśmiech"? Kto nie widział, ten stracił, lecz nie bezpowrotnie, bo może jeszcze sięgnąć po książkę, której kolejne, piąte wydanie ukazało się właśnie na rynku. Komu polecić tę powieść? Dziewczynom, skoro bohaterowie jej są męscy, czy może tylko chłopakom? Myślę, że jednym i drugim, bo autostopem podróżować mogą wszyscy – niezależnie od wieku, płci i wykształcenia, zaś Dudusie zdarzają się również wszędzie, niezależnie od wieku, itd... Cała barwna, pełna humoru i przygód opowieść, to pasmo niespodzianek i nieporozumień, które przytrafiają się dwójce bohaterów: Dudusiowi i Poldkowi w podróży. Splot nieprzewidzianych okoliczności sprawił, że oni to właśnie, mając nędzne grosze przy duszy muszą dotrzeć sami z Warszawy do Międzywodzia, gdzie zażywa wczasów pozostała część rodziny Wanatowiczów i Fąferskich. A że obydwaj cioteczni bracia różnią się od siebie charakterami, nie brak sytuacji zabawnych. Duduś – ciepłolubny laluś i fajtłapa każdą decyzję musi co najmniej kilka razy głęboko przemyśleć. Poldek natomiast, odważny, śmiały, trochę pędziwiatr, umie zawsze znaleźć wyjście, nawet z sytuacji kompletnie bez wyjścia...

W jakich bywali tarapatach, kogo spotkali po drodze, czy wreszcie dobili do mety w Międzywodziu, dowiecie się z książki, której właściwie reklamować nie trzeba.

(tem)

W ubiegłym roku w wakacje, pokazując rozmaite cudeńka, które może wyczarować każda dziewczyna (byle nie o dwóch lewych rękach) igłą, drutami, szydełkiem – donosiliśmy radośnie, że dopadł nas również szał węzełkowania, fachowo zwany makramą. Cały świat, od Turcji aż po Amerykę, węzełkował zawzięcie, nic więc dziwnego, że nam też się udzieliło. Nie zniechęcał nas przy tym ani brak odpowiedniego surowca (cały przydział sznurka zabrali akurat żniwiarze), ani trudności ze zdobyciem samouczków, ani koślawe pierwsze centymetry wyrobów. Dopiero kiedy za którymś razem zrobił się gigantyczny supeł, i to w miejscu w którym być nie powinien, powiedzieliśmy sobie – dość! Po czym całą robotę rzuciliśmy z pasją w najciemniejszy kąt szafki.

Wybawienie przyszło całkiem niedawno. Oto Młodzieżowa Agencja Wydawnicza w serii folderów – poradników dla dziewcząt, wydała to, czego nam było potrzeba. Krótki, zwięzły, ilustrowany przejrzyście przewodnik po węzełkowaniu, opatrzony tak dokładnymi opisami, że trzeba naprawdę ogromnie się starać, żeby coś sknocić. Ponieważ rzecz całą napisano z myślą o absolutnie początkujących, jest o historii tej bardzo starej sztuki, są też propozycje przedmiotów użytkowych i ozdób: siatek, hamaków, chust, torebek, pasków czy wisiorków.

Okazało się więc, że węzełkowanie to zajęcie naprawdę nieskomplikowane, zwłaszcza, gdy przeplatając palcami sznurki można jednocześnie zerkać do ściągaczki i kontrolować wzrokiem całą robotę, by od samego początku mieć pewność, że wszystko idzie jak po maśle.

(tem)

Folder „Makramy" sprzedawany jest w kioskach i klubach „Ruchu", MAW 82, nakład 100 tys., cena 12 zł

*

A ponadto w księgarniach powieści dwóch waszych ulubionych autorów:

J. Domagalik – „Zielone kasztany" MAW 82, wyd. II, s. 276, cena 70 zł

A. Minkowski – „Dowód tożsamości", NK 81, s. 294, cena 55 zł

Jeden z gatunków **chlebowca** – *Artocarpus integra*. Owoce dochodzą do 15 kg.

Rys. **„Früchte der Erde"**

Zamorskie specjały (2)

PIEKARNIA NA DRZEWIE

Perypetie związane z pierwszymi próbami przesiedlenia **drzew chlebowych** z ich naturalnych siedlisk na wyspach Pacyfiku opisaliśmy w nrze 93 „ŚM". Prawdę mówiąc, opinie jakie o nich wówczas rozpowszechniano były mocno przesadzone. Przede wszystkim owoce tych drzew nie są w zasadzie jadalne na surowo – jak sobie wyobrażano. Po ugotowaniu zaś przypominają w smaku raczej kartofle.

W zależności od gatunku ich ciężar wynosi od 2 do 15 kg. Na drzewie zawsze są owoce i kwiaty w różnych stadiach dojrzewania. Mając kilka takich drzew, można więc stale – niezależnie od pory roku – dysponować dojrzałymi owocami, których duże, czarne nasiona wielkości naszych śliwek są po upieczeniu – również jadalne.

Drzewem jeszcze ciekawszym niż **chlebowiec właściwy** (*Artocarpus communis*) jest blisko z nim spokrewnione tzw. **drzewo bochenkowe** (*Artocarpus heterophylla*). Ma ono owoce – giganty, niktóre dochodzą do 35 kg i wyrastają... wprost z grubego i pofałdowanego pnia! Jego ojczyzną są Indie i tam też jest najczęściej uprawiane. Owoc drzewa bochenkowego jest okryty twardą, zdrewniałą skórką, pokrytą tępymi kolcami. Do jego środka – a miąższ ma lekko brązowy, słodki i smaczny na surowo – można się dostać dopiero po przerąbaniu go ostrą siekierą. Ma tylko jedną wadę – dość paskudny zapach. Ale to nikogo nie zniechęca, gdyż jak pisze prof. Pieniążek *„brzydko pachnących owoców jest dość dużo w południowo-wschodniej Azji"*.

Miałem kiedyś okazję jadać inny specjał, podobnie nazwany jak te, o których wyżej piszę, a mianowicie **chleb świętojański**. Rośnie on na drzewie, o oficjalnej nazwie **szarańczyn** (*Ceratonia siliqua*), a ma formę szerokiego i długiego na 20 cm, brązowego po ususzeniu słodkiego strąka z pestkami w środku. Takie owoce były w Polsce bardzo popularne w okresie dwudziestolecia międzywojennego, i można je było tanio dostać w każdym tzw. kolonialnym sklepie. Żuło się je pracowicie całymi dniami, gdyż ich twardość przewyższała wyschnięty na kość kasztan.

Nie ma się więc co dziwić, że prawie cała światowa produkcja strąków szarańczynu przeznaczona jest na paszę dla zwierząt domowych...

(jd)

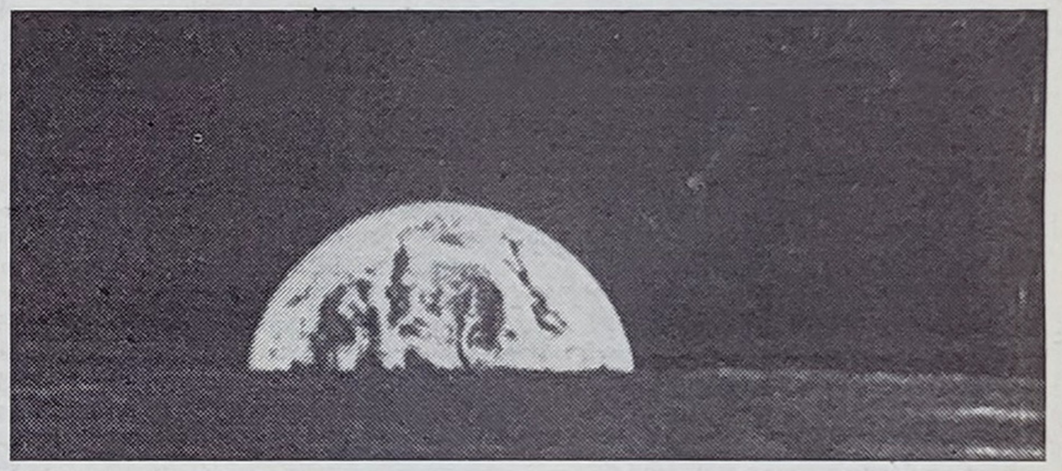

ILE LAT MA ZIEMIA?

Im dokładniej uczeni starają się obliczyć wiek Ziemi, tym okazuje się ona starsza. 250 lat temu E. Halley, bliski przyjaciel J. Newtona jako pierwszy z uczonych spróbował obliczyć wiek naszej planety. Jego kryterium była szybkość zasalania się Oceanu Spokojnego. Zawartość soli w oceanie jest sumą ilości soli wnoszonych do niego przez rzeki każdego roku. Z obliczeń wyszła ogromna, jak na tamte czasy, liczba – 10 000 lat. Pół wieku później po Halley'u francuski przyrodoznawca J. Buffon zastosował inną metodę: zestawił szybkość stygnięcia kamiennych kul z przypuszczalną szybkością stygnięcia kuli ziemskiej. Wyszło 75 000 lat. W połowie ubiegłego wieku fizyk Kelwin wykorzystując tę samą metodę, ale dokładniej, otrzymał już 20 milionów lat. Pod koniec ubiegłego wieku D. Gioli wyliczył, stosując metodę Halley'a, szybkość wzbogacenia się wód Oceanu Spokojnego w chlorek sodu. Wiek Ziemi ocenił na 90 milionów lat. „Postarzanie" Ziemi na tym się nie skończyło. Prawdziwą rewelacją stała się metoda obliczania wieku skał na podstawie zawartości w nich produktów rozpadu radioaktywnego. Za pomocą tej metody ustanowiono nową datę powstania najstarszych skał – 4,6 miliardów lat temu. Trzeba tylko zaznaczyć, że czas na tym „radioaktywnym zegarze" liczony jest dopiero od momentu uformowania się skał. Ile czasu upłynęło przedtem, tego „radioaktywny zegar" obliczyć nie jest w stanie...

A zatem ta data narodzin Ziemi – także nie może być ostateczna. Potrzebny jest zegar, który obliczyłby także czas przed uformowaniem się skał. Tę tajemnicę kryje w sobie kosmos. Znając wiek Wszechświata, można by choć w przybliżeniu obliczyć wiek Ziemi. Angielski astronom J. Geens spróbował obliczyć wiek gwiazd na podstawie orbit ich satelitów. Satelita i gwiazda stanowiły niegdyś jedno ciało. Po rozdzieleniu się orbita początkowo była kołowa. Obecnie orbity są eliptyczne. Według obliczeń astronoma na to wykrzywienie pod wpływem sił w grawitacji potrzeba było tysięcy miliardów lat. Stosunkowo niedawno w przestrzeni międzygwiezdnej odkryto widma molekuł* składających się z wodoru, węgla, azotu. Jeżeli powstawanie molekuł w kosmosie przyjąć za swojego rodzaju „zegar molekularny", to pokazuje on znowu zupełnie inny czas. Przy zagęszczeniu 100 atomów na 1 cm^3 każdy atom zderza się z innym raz na sto lat. Trzeba przy tym pamiętać, że dla powstania większości molekuł niezbędne jest jednoczesne zderzenie aż trzech elementów: ten trzeci bierze na siebie nadwyżkę energii zderzenia i tym samym daje możliwość dwu pozostałym atomom połączenia się w molekułę i nie pozwala odbić się od siebie, jak dzieje się to przy zderzeniu tylko dwu elementów. Takie potrójne zderzenia przy małym zagęszczeniu atomów zdarzają się niezmiernie rzadko: przy zagęszczeniu 100 atomów na 1 cm^3 – raz na 10 lat. Przerasta to przyjmowany wiek Galaktyki o 10 mld lat! A przecież w kosmosie odkryto molekuły złożone aż z 7 atomów! Ale jeśli nawet szybkość reakcji chemicznych w kosmosie miliardy razy przekracza szybkość przypuszczalną, to i tak wiek Wszechświata jest bardzo, bardzo podeszły. Tym bardziej że przed molekułami musiały przecież powstać atomy.

„Sputnik"

opr. **j.z.**

* przypomnijmy, że molekuły (inaczej cząsteczki) są najmniejszymi cząstkami substancji. Molekuły pierwiastków mogą być jednoatomowe (np. molekuła helu – He), bądź wieloatomowe (np. molekuła tlenu O_2).

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

CITROEN KARIN

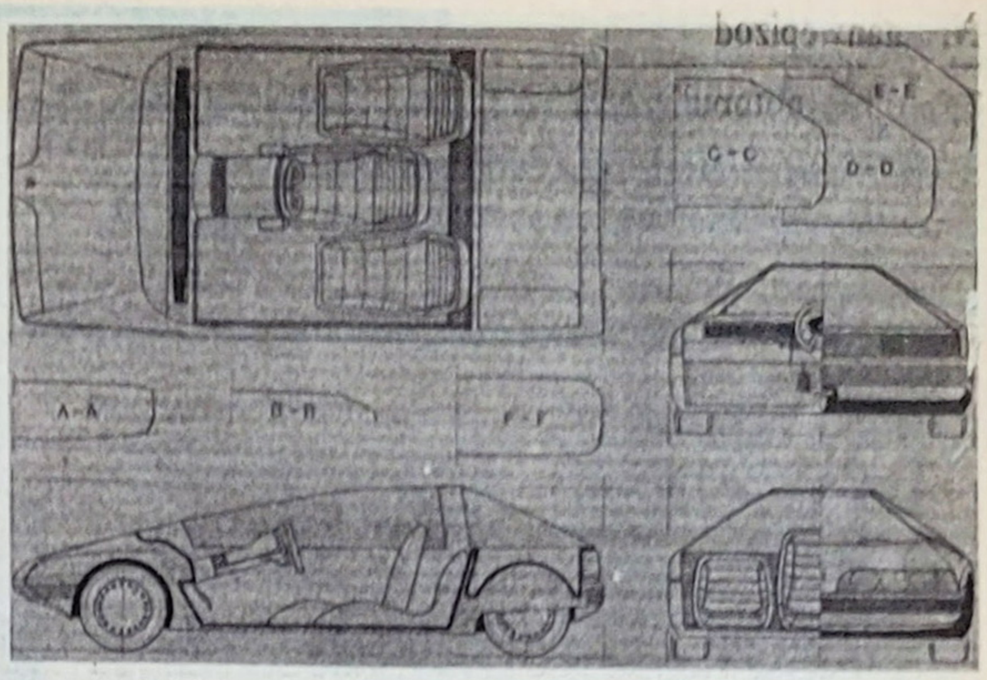

W jednym z poprzednich odcinków zapowiedziałem przedstawienie materiałów dotyczących projektu samochodu oznaczonego marką CITROEN KARIN. Samochód ten jest wcześniejszą propozycją stylistyczno-konstrukcyjną szefa biura stylistów firmy Citroen Trevora Fiore, w stosunku do zaprezentowanego już na łamach kącika pojazdu o nazwie CITROEN XENIA.

CITROENA KARIN można nazwać wręcz samochodem niecodziennym. Dach ma bardzo małą powierzchnię, a na resztę kabiny pasażerskiej składają się: tafle szklane tworzące szybę przednią, szyby boczne stanowiące – z niedużymi fragmentami części bocznych nadwozia – drzwi unoszone ku górze, oraz całkowicie oszklona tylna część, będąca bagażnikiem.

Niecodzienne też jest wnętrze, w którym znajdują się trzy fotele umieszczone w jednym rzędzie, przy czym fotel dla kierowcy zlokalizowany jest po środku – nieco wyżej od dwóch pozostałych i jest trochę wysunięty do przodu. Z tego miejsca kierowca ma bardzo dobrą widoczność we wszystkie strony, a także i do góry. Przed sobą ma pulpit sterowniczy z pierścieniowo umieszczonymi przyciskami i światłami kontrolnymi. Na piaście koła kierowniczego znajdują się przyciski mikroprocesora, którego ekran umieszczony został przed oczyma kierownicy. Prowadzący samochód może w każdej chwili dowiedzieć się jaka odległość pozostała jeszcze do przejechania do żądanej miejscowości, ile potrzebuje na to czasu przy założeniu określonej prędkości przeciętnej, jakie jest w danej chwili zużycie paliwa itp. Także chwilowa prędkość, ilość paliwa w zbiorniku, temperatura silnika są wyświetlane na tym ekranie. Pasażerowie mają również przed oczyma ekrany komputera, na których mogą sobie wyświetlać te wielkości.

Materiałami, użytymi do budowy nadwozia są przede wszystkim różnego rodzaju tworzywa sztuczne, głównie zaś laminaty poliestrowe.

Silnik w tym samochodzie umieszczony jest z przodu, a napęd od niego przenoszony na przednie koła. Przekazywanie napędu odbywa się automatycznie. Zawieszenie wszystkich kół jest niezależne w oparciu o system resorowania z wykorzystaniem w układzie płynu – jest nim specjalny rodzaj oleju. System tego zawieszenia jest powszechnie stosowany przez firmę Citroen i z tego powodu określany też jest nazwą „systemu Citroena".

Tyle opisu. Reszta danych o tym niekonwencjonalnym samochodzie przedstawiona została na opracowanych przeze mnie rysunkach.

ZENON DUTKIEWICZ
Rys. **autora**

W ŚRODKU MIASTA SZUMI PUSZCZA

● Ulubiony zakątek polskich królów i Stanisława Staszica ● Świat owadów – bogaty jak w Białowieży ● Dzik na skrzyżowaniu ulic, lis w... wygódce ● Nawet dziury w płocie mogą służyć ochronie przyrody

„Na Mazowszu piasek i sosny"... Dziś jest to prawda, ale przed wiekami pokrywająca mazowieckie niziny prapuszcza inaczej wyglądała. Prym wiodły w niej – przynajmniej na najżyźniejszych siedliskach – drzewa liściaste – dęby, lipy, graby, rosnące wśród bujnego poszycia. Ustępowały one jednak miejsca terenom uprawnym; dziś tutejsze lasy pozostałe na siedliskach najuboższych, piaszczystych, z ową prapuszczą niewiele mają wspólnego. Czy jednak nie zachował się gdzieś choćby jej kawałek?

Tak! I to w... samej Warszawie! To Las Bielański, otoczony dziś już zewsząd przez osiedla i arterie. Puszcza w środku miasta? O tym, jak mimo wszystko trafne jest takie określenie przekonałem się kiedyś sam, gdy uzbrojony w pisemne zezwolenie wojewódzkiego konserwatora przyrody, zszedłem z wydeptanych ścieżek w ostępy. Zaraz zagrodził mi drogę podrost młodych drzew, a z tego gąszczu wyrastały liczne, wspaniałe dęby, graby, wiązy. Zaś na niskim, zalewowym tarasie nad samą Wisłą przyszło mi z trudem przedzierać się przez grząskie poszycie nadwiślańskiego łęgu, gdzie królują wiekowe jesiony, olchy, wiązy. O ileż bardziej puszczański jest ten las od dzisiejszych, monokulturowych „puszcz" – Białej, Knyszyńskiej, Nadnoteckiej! – pomyślałem sobie.

JAK OCALAŁ

Do czasów upadku Rzeczypospolitej bezpośrednią opiekę nad Lasem Bielańskim sprawowali królowie – Władysław IV, Jan Kazimierz, Jan Sobieski. Tu były ich tereny łowieckie, tu przyjeżdżali wypoczywać. Dzięki temu las nie był traktowany jako „fabryka drewna" dla rozbudowującej się Warszawy (budowanej niegdyś głównie z drewna). Później, już w XIX wieku coraz bardziej stawał się terenem wypoczynkowym mieszkańców stolicy. Tu się odbywały zabawy ludowe, festyny, ba, nawet pojedynki. Tu właśnie umieścił Prus akcję pojedynku Wokulskiego z baronem Krzeszowskim. Po powstaniu listopadowym zaczęły tu gospodarować władze wojskowe.

To wszystko nie było wprawdzie równoznaczne z ochroną tutejszej przyrody, ale uchroniło Las przed najgorszym: przed masowym wyrębem drzew. Wcześnie też zaczęto tu myśleć o różnych formach ochrony przyrody. Bo też Las od dawna przyciągał przyrodników. Najwybitniejszy z nich, Stanisław Staszic, zapragnął wręcz, by tu go pochowano. Jego mogiłę można dziś oglądać na zapleczu kościoła bielańskiego.

PUSZCZAŃSKA FAUNA

Dziś, pomimo dotkliwych strat poniesionych w czasie obu wojen, Las pozostał lasem, a współcześni przyrodnicy z niemniejszym uznaniem wyrażają się o jego bogactwie, niż ci ubiegłowieczni. Choćby – o faunie...

Pewnej październikowej nocy w 1973 roku milicjanci zauważyli dzika wędrującego jakby nigdy nic wzdłuż biegnącej obok Lasu ulicy Marymonckiej. Parę razy widziano też łosie. Przez jakiś czas przebywała nawet w tutejszych gąszczach para danieli. Stałymi mieszkańcami są sarny, a także lisy; jeden z nich zrobił tu sobie legowisko w... drewnianej wygódce.

Duże zwierzęta bywają w tej „bielańskiej puszczy" raczej tylko „przechodem". Najdrobniejsze – na ogół zamieszkują stale. Świat owadów – zdaniem specjalistów – jest nie mniej bogaty, niż w ostępach Puszczy Białowieskiej. Są tu owady, które byt swój wiążą z sokiem, wyciekającym ze starych drzew; inne z kolei są związane z dużymi dziuplami, w których stoi woda. Jeszcze inne nie potrafią się obyć bez starych dębów – choćby rzadki, okazały chrząszcz – kozioróg dębosz. A jeszcze inne – bytują na pewnych gatunkach grzybów, wyrastających na pniach wiekowych drzew liściastych. Itd. itd. – żadne z wymienionych tu owadów nie mają czego szukać w monotonnych sosnowych drzewostanach, jakie dominują w kraju.

Współczesna monokulturowa „puszcza" może się poszczycić co najwyżej dwoma, trzema gatunkami dzięciołów. Tu zamieszkuje ich aż 7 gatunków. Największy – dzięcioł czarny, związany zwykle z rozległymi borami, a unikający miast – tu wykuwa swe dziuple nad głowami spacerowiczów. Rzadki ptak wróblowaty – grubodziób – swym mocnym jak obcążki dziobem rozłupuje twarde nasiona grabu, swój największy przysmak. Gdzież je znajdzie na Mazowszu w większej obfitości, jak nie tutaj? Ormitofauna lęgowa liczy ok. 65 gatunków ptaków, podczas gdy w bogatym pod tym względem parku łazienkowskim – nieco ponad 30. W Lesie Bielańskim jest wciąż dużo gatunków typowo leśnych.

ESTAKADA NADZIEI

W ciągu ostatnich dziesięcioleci las z podmiejskiego stał się miejskim – zewsząd otoczyły go osiedla i ulice. Skutek – zanieczyszczenie powietrza, hałas, odwodnienie terenu, coraz większy napór ludzi. Czułym tego wskaźnikiem jest fauna. Zoologowie zauważyli, że zmienia się jej skład gatunkowy: coraz mniej jest gatunków leśnych, coraz więcej parkowych. Utworzenie tu w 1973 roku rezerwatu przyrody nie było w stanie powstrzymać tych zmian. Prawna ochrona nic też nie mogła pomóc na to, że obudowany zewsząd las zaczął tracić ekologiczny kontakt z położonymi na północ „zielonymi płucami" Warszawy – Lasem Młocińskim i Puszczą Kampinoską.

Dla skrawka przyrody, zagrożonego przez wyziewy i hałas – taki kontakt, to rzecz wielkiej wagi. Jeżeli ubywa tu pod wpływem cywilizacji np. drobnych zwierząt czy innych organizmów – to ubytek ten może być uzupełniony dzięki napływowi nowych osobników z obszarów sąsiednich. Stąd dążenie ekologów, by tak projektować rezerwaty czy parki krajobrazowe, aby tworzyły one „ekologiczne pasma" czy „ekologiczne korytarze".

W latach 70-tych jedynym łącznikiem Lasu Bielańskiego z resztą zielonego świata pozostała Wisła. Ale, niestety... Ruszyła budowa Wisłostrady, która miała pobiec albo skrajem wiślanej skarpy, albo w dole, brzegiem Wisły. I jedno i drugie rozwiązanie byłoby wielkim ciosem dla unikalnej szaty leśnej, porastającej zbocze skarpy. I nie koniec na tym. Jak wykazano w silnie zurbanizowanych krajach – jezdnie szybkiego ruchu bardziej skutecznie powstrzymują migracje drobnych zwierząt, niż nawet szerokie rzeki. Zatem – ekologiczna izolacja lasu byłaby już zupełna.

Toteż rozpoczęła się batalia o ratowanie unikalnej skarpy i – co się nie za często u nas zdarza – doprowadziła do rozsądnego kompromisu. Wisłostradę poprowadzono estakadą między skarpą a Wisłą. To było najtrudniejsze technicznie i najkosztowniejsze rozwiązanie. No, ale dzięki niemu między filarami estakady pozostała wolna przestrzeń – „ekologiczna furtka" łącząca las z Wisłą i otaczającymi ją gąszczami zarośli.

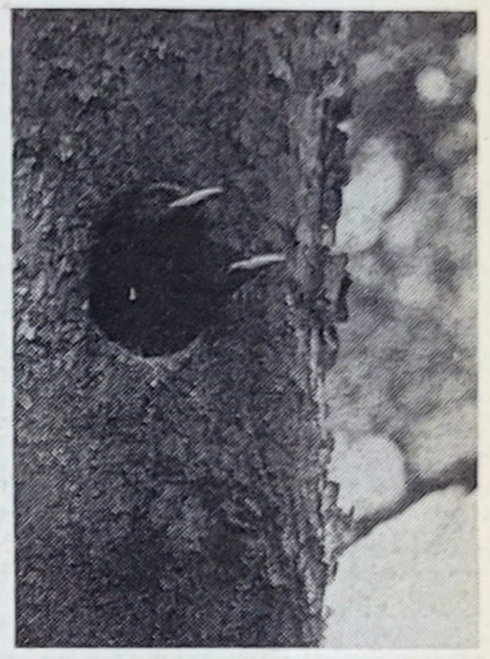

Młode dzięcioły czarne, wychylające się z dziupli, wykutej w grubej sośnie tuż nad ruchliwą ścieżką

LEŚNE LABORATORIUM, JAKICH MAŁO

Nie zakończyła się jednak na tym walka o należytą ochronę bielańskiej przyrody. Las Bielański – od dawna tradycyjny teren wypoczynkowy mieszkańców stolicy – jest nafaszerowany różnymi urządzeniami mającymi ten wypoczynek umilić. Drewniane estrady, kioski, urządzenia do zabaw dziecięcych – to wszystko zajmuje śródleśne polany, które mogłyby być cenne dla ochrony tutejszych roślin i zwierząt. Te wszystkie „rodzynki" miały stąd zniknąć zaraz po utworzeniu rezerwatu. Odwlekało się, odwlekało – i w większości odwlekło do dziś. Cóż więc pomoże wysiłek, włożony we właściwie rozwiązanie Wisłostrady, skoro las wciąż przecinają płoty, płotki, ogrodzenia, stwarzające ekologiczne bariery? Betonowy fundament ogrodzenia Akademii Wychowania Fizycznego stanowi np. dla wędrujących małych ssaków, płazów, gadów taką właśnie przeszkodę. Zoologowie zaproponowali więc, by porobić w nim otwory. Jak widać, czasem nawet dziury w płocie mogą wspomagać ochronę przyrody.

Póki co – las zbyt łatwo staje się po prostu hałaśliwym miejskim parkiem. Nie o to chodziło. W jego ochronie powiedziano A – tworząc rezerwat i odpowiednio budując Wisłostradę – ale jakoś trudniej powiedzieć B. Szkoda. Miejsc do masowego wypoczynku nie brak w pobliżu, za to rezerwat mógłby być miejscem wypoczynku cichego i wycieczek przyrodniczych. Gdy nie tak dawno temu przyjechali tu botanicy z wielu państw, otwierali oczy ze zdumienia: macie, jako jedyna w Europie stolica, zachowany w środku miasta prawie puszczański las. Unikalna sytuacja!

Unikalna zwłaszcza dla nauki, która dziś coraz częściej stawia sobie pytanie: jak zachować w pobliżu aglomeracji skrawki mało przekształconej, dzikiej przyrody? Dla badań nad tym problemem ta „śródmiejska puszcza" – o ile nie zamieni się w jeszcze jeden deptak z betonem i światłami – stanowi przecież „zielone laboratorium", jakich mało...

TOMASZ KŁOSOWSKI
Fot. **autora**

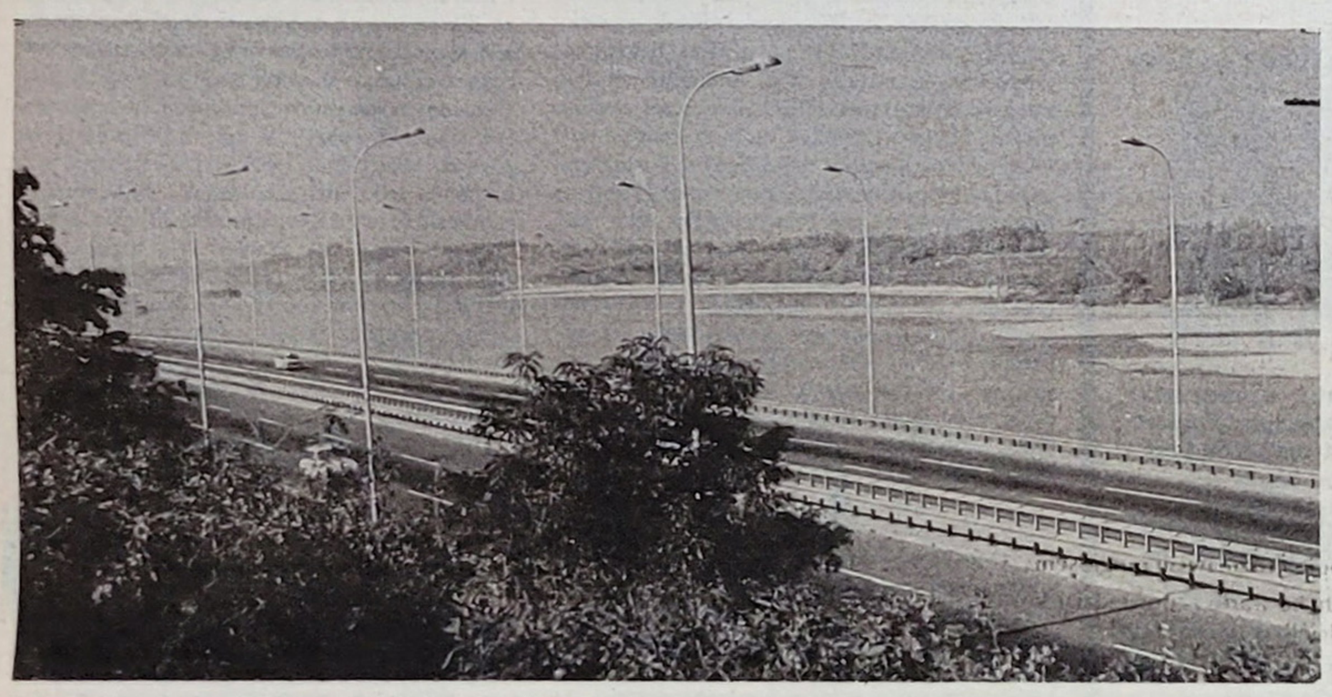

Bielański odcinek Wisłostrady. Pod jezdniami istnieje wolna przestrzeń, „ekologiczna furtka", łącząca las z Wisłą

Bielańskie grądy najokazalej prezentują się jesienią

Nieznany epizod

z czasów „potopu"

PARTYZANT KRÓLA JEGOMOŚCI

Michałko – ludowy bohater „potopu" szwedzkiego, pochodzący z Tucholi – był do roku 1656 młynarzem. W tymże roku został przymusowo wcielony do wojska szwedzkiego i walczył w regimencie rajtarskim. Przełomowy moment w jego życiu stanowił rok 1657, kiedy to wpadł pod Rawą w ręce jednego z polskich podjazdów. Odtąd, utworzywszy chłopski oddział partyzancki, nękał skutecznie Szwedów, którzy w roku 1655 najechali na nasz kraj.

Jesienią 1657 roku, otoczony przez wojska szwedzkie w Starogardzie, bronił się mężnie przez kilka dni, choć dysponował tylko 80 osobami załogi i brakowało mu amunicji i wody. Kiedy 27 listopada tegoż roku zdecydował się na honorową kapitulację, Szwedzi nie dotrzymali warunków i uwięzili go, a w grudniu postawili pod sąd wojskowy jako dezertera z armii szwedzkiej. Jednak na skutek interwencji króla Jana Kazimierza, który zagroził represją na wyższych oficerach szwedzkich znajdujących się w polskiej niewoli, Szwedzi zwolnili bohaterskiego rotmistrza.

Michałko po uwolnieniu kontynuował walkę partyzancką przeciw wojskom szwedzkim. Za działalność niepodległościową, którą zapoczątkował wyżej wspomniany fakt, jaki miał miejsce pod Rawą, sejm przyznał mu w roku 1658 szlachectwo.

HENRYK SZUBERT

Z minikomputerem taniej i precyzyjniej

(PAP). W Instytucie Nawigacji Morskiej Szczecińskiej Wyższej Szkoły Morskiej opracowano komputerowy system optymalizacji ruchu statków na trasie Szczecin–Świnoujście.

Autorzy – specjaliści z nowej dziedziny, inżynierii ruchu morskiego – proponują zainstalowanie dwóch minikomputerów (krajowej produkcji) w kapitanatach portu. W wyniku komputerowej analizy można byłoby uzyskać precyzyjny program przeprowadzenia każdego statku ze Szczecina do Świnoujścia i z powrotem, uwzględniając odpowiednie szybkości i wybór bezkolizyjnych tras.

Cała instalacja kosztowałaby 10 mln złotych, a jej efektem byłoby skrócenie o 10 proc. czasu potrzebnego statkom na przebycie trasy Szczecin–Świnoujście, a więc także skrócenie okresu pobytu w porcie i zmniejszenie zużycia paliw. Oszczędności te przewyższyłyby już po roku koszt instalacji komputerów. **(kl)**

Autorem mego portretu „ze łzą w oku" jest tajemniczy „Czytelnik". Łza jest z żalu po wakacjach oczywiście!

REDAGUJE
Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Mówi się: *chodzę do szkoły*, choć z tym „chodzeniem" bywa przecież różnie. Są tacy, którzy nie chodzą, chociaż chodzą, bo są do szkoły dowożeni. Znam takiego ucznia pewnej podstawówki, który do szkoły nie chodzi, lecz schodzi, a czasem zjeżdża po poręczy, bo mieszka na poddaszu szkolnego budynku. Wątpię jednak by kiedykolwiek, zapytany czy chodził do szkoły, odpowiedział: nie chodziłem. Zjeżdżałem.

Uważam, że wszyscy ci „chodzący – niechodzący" nie mają prawa mówić *chodzę do szkoły*, lecz – *uczęszczam*. Prawo to przysługuje natomiast tym, co chodzą naprawdę i to nieraz po kilka kilometrów.

Rozważaliśmy ten ważki problem i wszyscy jednocześnie zapragnęliśmy poznać REKORDZISTĘ! A może REKORDZISTKĘ!? Kto uważa, że ma najdalej do szkoły (piechotą!), że jest ogólnopolskim rekordzistą – niech napisze do mnie. Ważne też, czy droga jest asfaltowana, czy błotnista, czy w zimie trzeba brnąć przez zaspy, czy chodzi się samotnie itp.

Mogą też użalić się na swój los i dojeżdżający. Proszę bardzo. Spośród nich też wyłonimy rekordzistę.

Nie jestem pewien, czy ufundujemy puchar – coś chyba jednak rekordziście zafundujemy! No i sława ogólnopolska, wywiady, fotosy...

Czekam na moc listów!

Wasz Rzep

PS. Mój stały doradca – Krasnoludek doradził, żeby brać też pod uwagę, jeśli ktoś ma do szkoły pod górę, pod wiatr z deszczem, pod prąd itp. bzdury. Przecież jak kto ma do szkoły pod wiatr, to ze szkoły – z wiatrem. Pa!

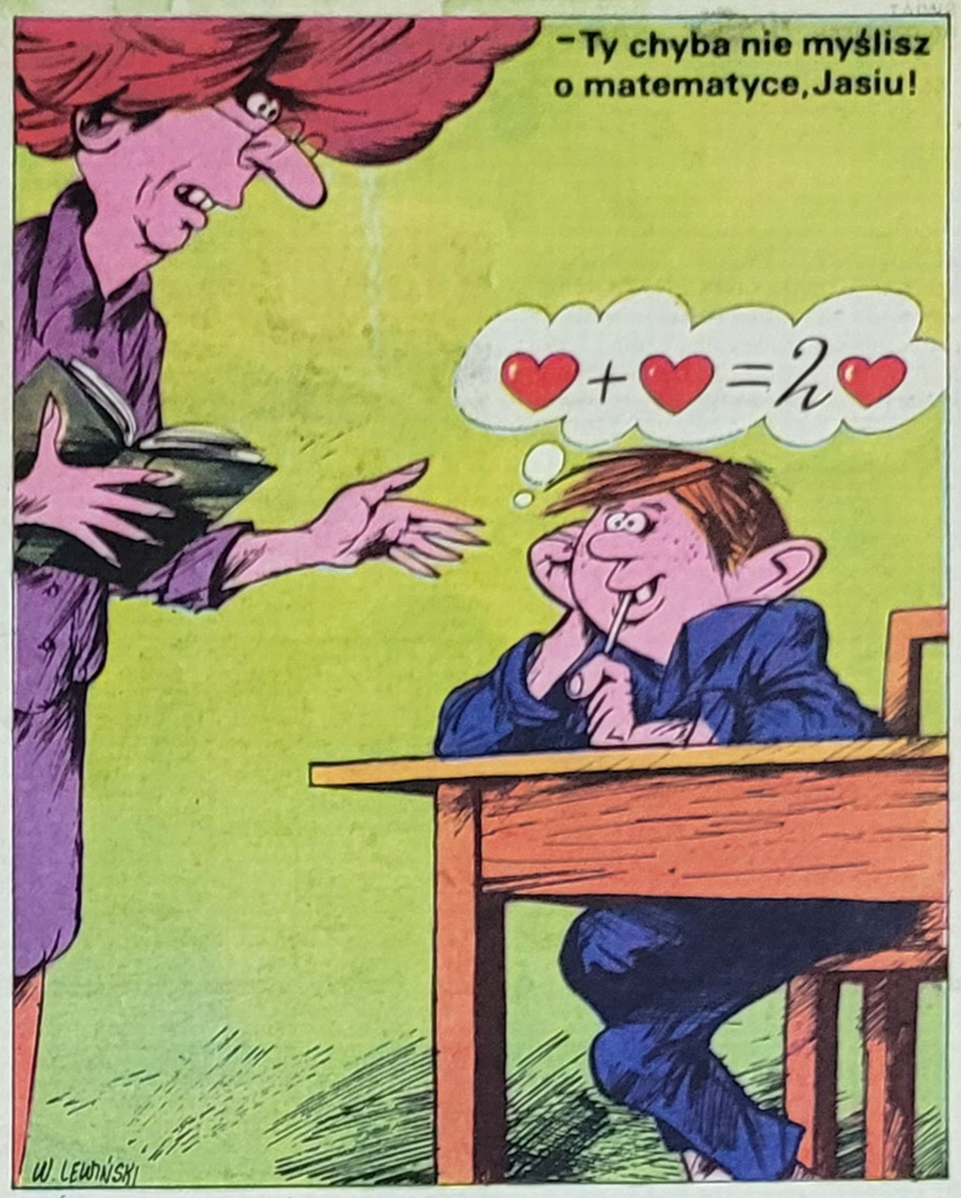

RZEPKLUB
Zamieszczony obok żart rysunkowy wyszperała **Iwona Opolska**, którą zapisuję do klubu.

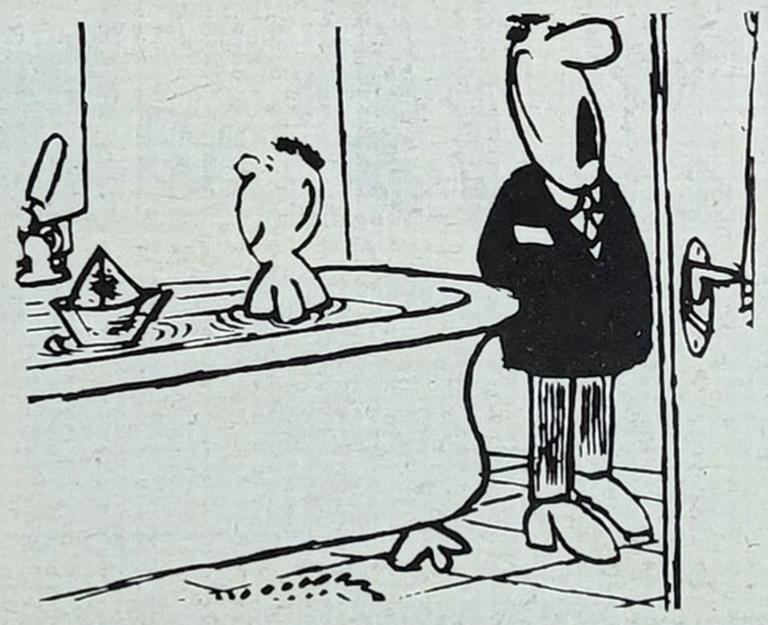

– Nie szukaj mojej gazety, już ją znalazłem...

śmieszny podczas obiadu, kiedy pilnował matki i ojca. Piotr ledwie powstrzymywał chichot, chociaż starał się pomagać koledze. Pomyślał, że teraz na pewno przysłali go, żeby przeprosił za tak pospieszne odejście. Zachowali się dość dziwnie. Róża przeprosi, a Piotr powie, że nie ma sprawy, powie, że sam się też uniósł, ale widziałeś, co się stało, każdy by się uniósł. Przykro ze względu na Aśkę, ale z Aśką – powie Róży – jakoś się załatwi. I mrugnie porozumiewawczo. Tylko niech Róża zacznie, nie, nie musi nawet przepraszać, niech powie coś po koleżeńsku: ale afera, co? – albo coś w tym rodzaju.

– Po co przyszedłeś? – spytał Różę drętwymi ze zdenerwowania wargami, kiedy znaleźli się koło siebie.

– Nie do ciebie, damski bokserze. Do twojego ojca.

Powiedział: damski bokserze. Czy to był żart, na pewno. Róża będzie przepraszał ojca Piotra w imieniu swoich rodziców. Dali mu popęd.

– Nie ma go. Pojechał.

Na chwilę jeszcze powstrzymał uśmiech.

– Musi ochłonąć? – Róża nienawistnie zmrużył oczy. – W lepszym towarzystwie?

Piotr zesztywniał.

– Właśnie.

Spojrzał na zaciśnięte pięści Róży i chłodne palce gniewu ścisnęły mu gardło. Jeszcze kilka zdań. Czekał na pierwsze uderzenie. Niech Róża już nie gada, niech uderzy. Zobaczymy, kto będzie górą.

A później patrzył, jak Róża odchodził powoli, jakby jeszcze gotów się zatrzymać. Rano też chciał odejść, bo jego rodzice zostali obrażeni. Jest dumny, pomyślał Piotr. Trzymał się z daleka.

– Róża! – krzyknął.

Róża oddalał się.

– Róża! Wróć. Ja nie chciałem!

Róża zatrzymał się na moment, ale poszedł dalej. Piotr ciągle patrzył za nim, bezwiednie wszedł na działkę i posuwał się równolegle do Róży, gdy ten mijał rozwaloną szopę, i szeptał: Róża, a potem zatrzymał się i szukał wzrokiem w lesie, ale niewiele widział. Podniósł rękę, dotknął policzków i poczuł wilgoć.

Potem siedział na ławce. Znajdę go. I Aśkę. Niech oni wrócą. Czekał długo, nasłuchując warkotu silników, ale koło działki przesuwały się nieliczne, obce samochody. Robiło się ciemno. Słońce zaszło za drzewa i powiał krótki, chłodny wietrzyk. Nad lasem rozlała się łuna zachodu, jakiś samochód zatrzymał się niedaleko, ludzie wysiedli z niego i zaczęli krokami mierzyć plac, na którym stała zburzona szopa. Zabłysło w niej krótkie światło, chyba ktoś zawołał, ale Piotr nie był tego pewien, w czarnym oknie mignął blady kształt. Ci, którzy mierzyli, zatrzymali się przy szopie i rozmawiali półgłosem.

– Za taką cenę to chyba warto – powiedział któryś. – Jutro porozmawiam z właścicielem.

– Piach – powiedział kobiecy głos.

– Czarnoziemu nie sprzedają – zaśmiał się pierwszy. – Jak się o to zadba, to kwiaty wyrosną. Zresztą sąsiedztwo cenne. Sami dyrektorzy.

– Chodźmy już.

Samochód znów zawarczał, a w oknie szopy jeszcze raz pojawił się blady owal, chyba twarzy.

Potem wrócili rodzice.

8.

Piotr przybiegł, gdy Szarooka zobaczyła przez okno łunę i wszyscy wyszliśmy z domu, żeby sprawdzić, co się pali. Było już ciemno od dość dawna, ale we wsi panował ruch. Mówiono, że nie pojawiły się wieczorne autobusy – i odcięci od miasta ludzie, którzy przyjechali wypocząć w lesie, gorączkowo szukali noclegów. Trochę wcześniej wiejską ulicą przemknęło kilka samochodów osobowych, ich kierowcy i pasażerowie powoli zgromadzili się w gospodzie wiejskiej i ponuro jedli kolację. Nie odpowiadali na pytania. Jakiś dzieciak oznajmił, że kiedy wracali do miasta, jego tata nagle zatrzymał samochód i powiedział do mamy, że droga jest nieprzejezdna. Dzieciak ucieszył się i wyjrzał, chociaż chciało mu się spać, bo w samochodzie zawsze śpi, ale nic nie zobaczył. Droga, opowiadał, była jak droga, ale tata mówił, że jest nieprzejezdna.

Cdn.

SOS dla PLANETY

STRESZCZENIE: Pojawia się znów ROJKOR, który pomaga LUC ORIENTOWI w walce ze swoim współrodakiem – OKJOREM, agresywnym osobnikiem z innej planety. Po niepowodzeniach z próbami zniszczenia Ziemi NISZCZYCIEL-OKROJ przycichł. Ale coś knuje – to pewne! ROJKOR mocą swej tajemniczej siły przenosi LUC ORIENTA w jakieś dziwne miejsce; chce pokazać LUCOWI moc NISZCZYCIELA...

XII

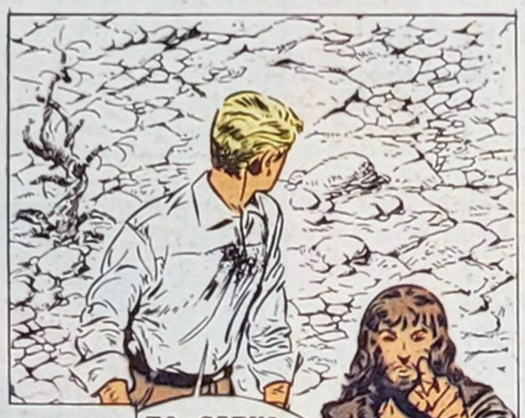

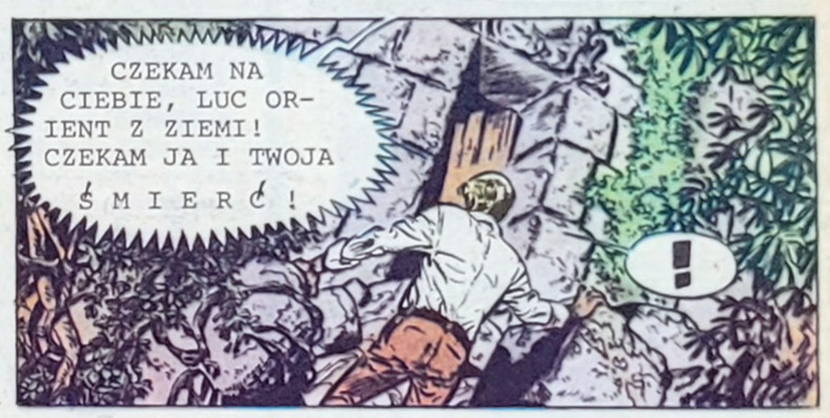

ŚWIAT MŁODYCH
MARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ: we wtorki, czwartki i soboty.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (z-ca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (z-ca sekr. red.), Marzena Wierzcholska (z-ca red. nacz.), Wojciech Wróblewski (sekr. redakcji).

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13
TELEX 81-36-58.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne
Szarlota Pawel

Opracowanie techniczne
Jerzy Rusak

Korekta
Bianka Abratowska-Lisowska

Nakł. 395 000

DdruK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 4185/G. Z-54

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY.

00-561

UŚMIECH NUMERU

– TOMEK, PODOBNO powiedziałeś w szkole, że jestem osłem!? Czy to prawda?

– To prawda, ale to nie ja powiedziałem...

★

PODRÓŻNIK pyta w Afryce jednego z tubylców nad rzeką:

– Można się tu kąpać? Nie napadną mnie ludożercy?

– Niech się pan spokojnie kąpie; ludożerców tu nie ma, ani nie przypłyną – boją się krokodyli!

LECH BORSKI

Zdążał za nimi i para przyspieszyła kroku, a potem skręciła w las. Przestraszyli się. Przystanek był tuż tuż, długa, porządna kolejka stała spokojnie, ludzie byli zmęczeni. Znów się zatrzymał. Tam przecież będzie jej ojciec. Dotknął policzka, chyba nie było śladu, ale czuł uderzenie. Bronił przed moim ojcem swojego ojca, ale to była wina moja i Smarkula, my go nastraszyłyśmy poprzedniego dnia, a przecież ojciec oświadczył wyraźnie, że nie jest winien. Pamięć podsunęła słowo: kryty. Powiedział, że jest kryty, a więc może jest winien. Kryty, to znaczy tylko, że mu nic nie zrobią. Nie chciał widzieć mojego ojca, zeszedł w rów, przedostawł się do drzew i przemykał za nimi lustrując kolejkę.

Gdyby przestali go teraz prosić, żeby powiedział swojemu ojcu... Gdyby przestali być mili. Wyraźnie zobaczył, jak jest sam. Bo wtedy nie zapraszaliby go do domów i do zabaw. Nie byłoby powodu. Sam nie zapraszał nikogo, poza Aśką. I zaprosił Różę, bo mama kazała. I dlatego, że Róża trzymał się z daleka. Mama mówiła, że nie życzy sobie, żeby sprowadzał do domu całe zgraje kolegów. Możecie się bawić na podwórku, ale uważaj, z kim się zadajesz. Już ta twoja Aśka... Ale cóż robić, sąsiadka, trzeba się pogodzić... Mama wzruszała ramionami.

Zbliżał się do czoła kolejki. Nie dostrzegał naszych sylwetek. Wyszedł na szosę i, nie dbając już o to, co zrobi, kiedy zobaczy mojego ojca, uważnie przepatrywał twarze, cofając się teraz do końca oczekującego węża ludzi.

Czasem ktoś go jednak odwiedzał, a mama wtedy zawsze pytała, co robią rodzice. Kolega odpowiadał, mama szukała wzroku Piotra i leciutko kiwała głową. Z wyrzutem. Bo jej się rzadko podobały zajęcia innych ludzi. Ale nie mówiła nic. Wtedy. Potem, po kilku godzinach, przypominała, że do zabaw jest podwórko, a jeszcze lepiej boisko. Boisko jest demokratyczne, mówiła, tam przyjaźnij się, z kim chcesz. Piotr słabo grał w piłkę. Proponowano mu grę. Ci, co byli mili. Czasem grał, na obronie, a potem, bywało, podchodził któryś z partnerów i zaczynał: słuchaj, powiedziałbyś swojemu... Czasem chodziło o to, by powiedzieć coś któremuś z nauczycieli. Przekonać albo ubłagać. Ciebie słuchają, ze mną nie chcą gadać, mówił kolega. I Piotr szedł do wychowawcy, który kazał mu siadać, słuchał, kiwał głową i powiadał:

– Że też ty zawsze, Piotrze, musisz ujmować się za kolegami. No, dobrze, ostatni raz mu daruję.

– A potem mówił: – Pozdrów ojca.

I to wszystko miałoby się skończyć? Wyobraził sobie: nikt nie podchodzi, wychowawca nie kiwa głową, ojciec przychodzi do domu zmęczony i zły i nie chwali się tym, co zrobił w ciągu dnia, bo czym się chwalić, kiedy go zdejmą ze stanowiska?

Nie było nas na przystanku, nie znalazł. Ruszył z powrotem, wypatrując; pomyślał, że może zatrzymaliśmy się w lesie.

Usiadł na kamieniu przydrożnym. Zobaczy, gdy ktoś będzie nadchodził.

Ale ojciec powiedział, że jest kryty. Nic się nie stanie. Nie zdejmą go. I nawet mój ojciec, chyba groźny, nie potrafi mu zaszkodzić. To tylko robotnik. Dlaczego ojciec tak się denerwował? Piotr nie mógł znieść, że ojciec się denerwował – odwrócił się, zobaczył mój uśmiech, to, co przyjął za mój uśmiech, taki sam jak uśmiech mojego ojca, i wyrzucił mnie. Ale to nie był uśmiech. To nie był uśmiech, powtórzył bezgłośnie.

W dali zawarczał autobus. Odjechał. Następny będzie wieczorem. Piotr wrócił na działkę i spotkał Różę, który zabrał Smarkula i przyspieszył odejście swoich rodziców. Róża był

Dokończenie na str. 7